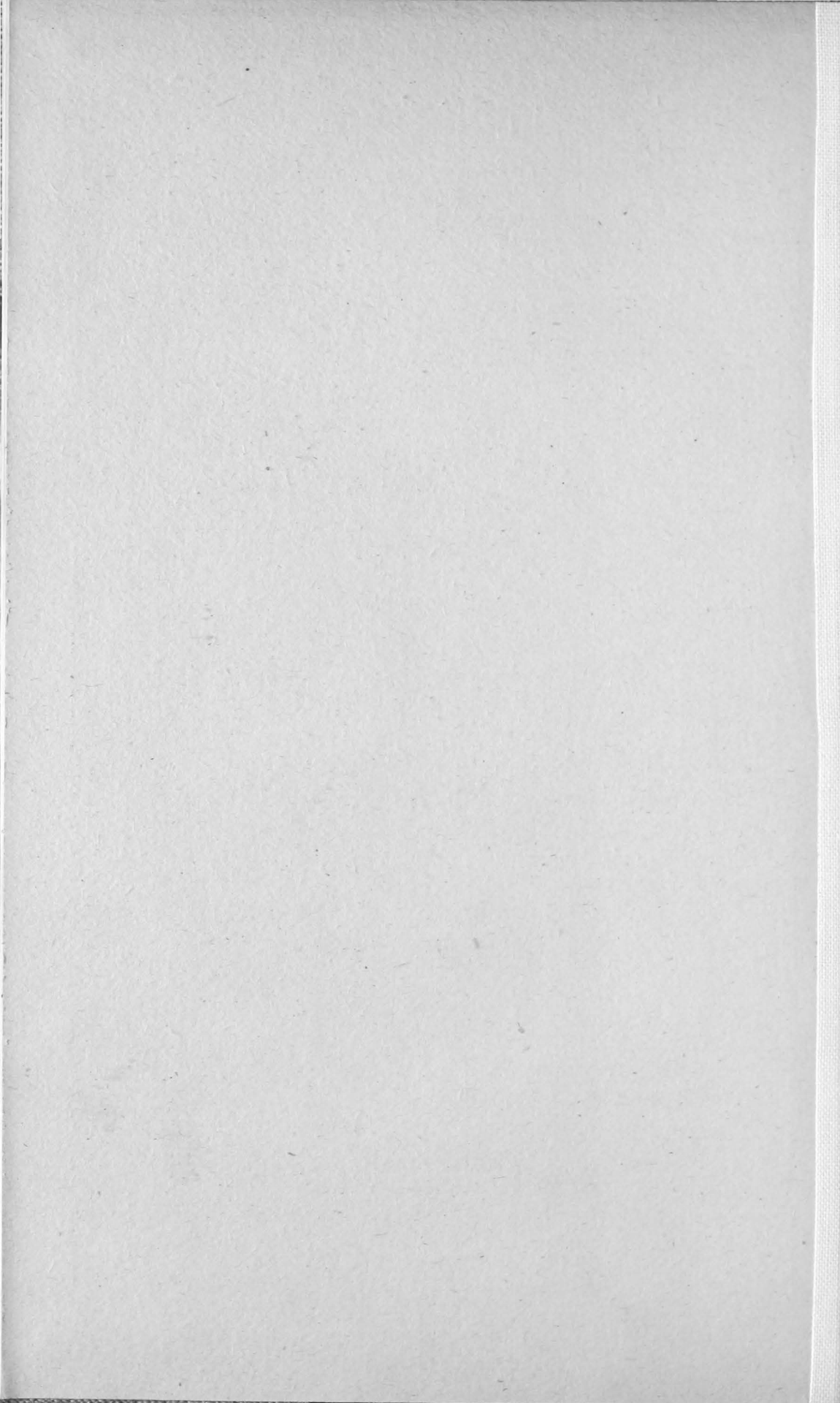


302.347

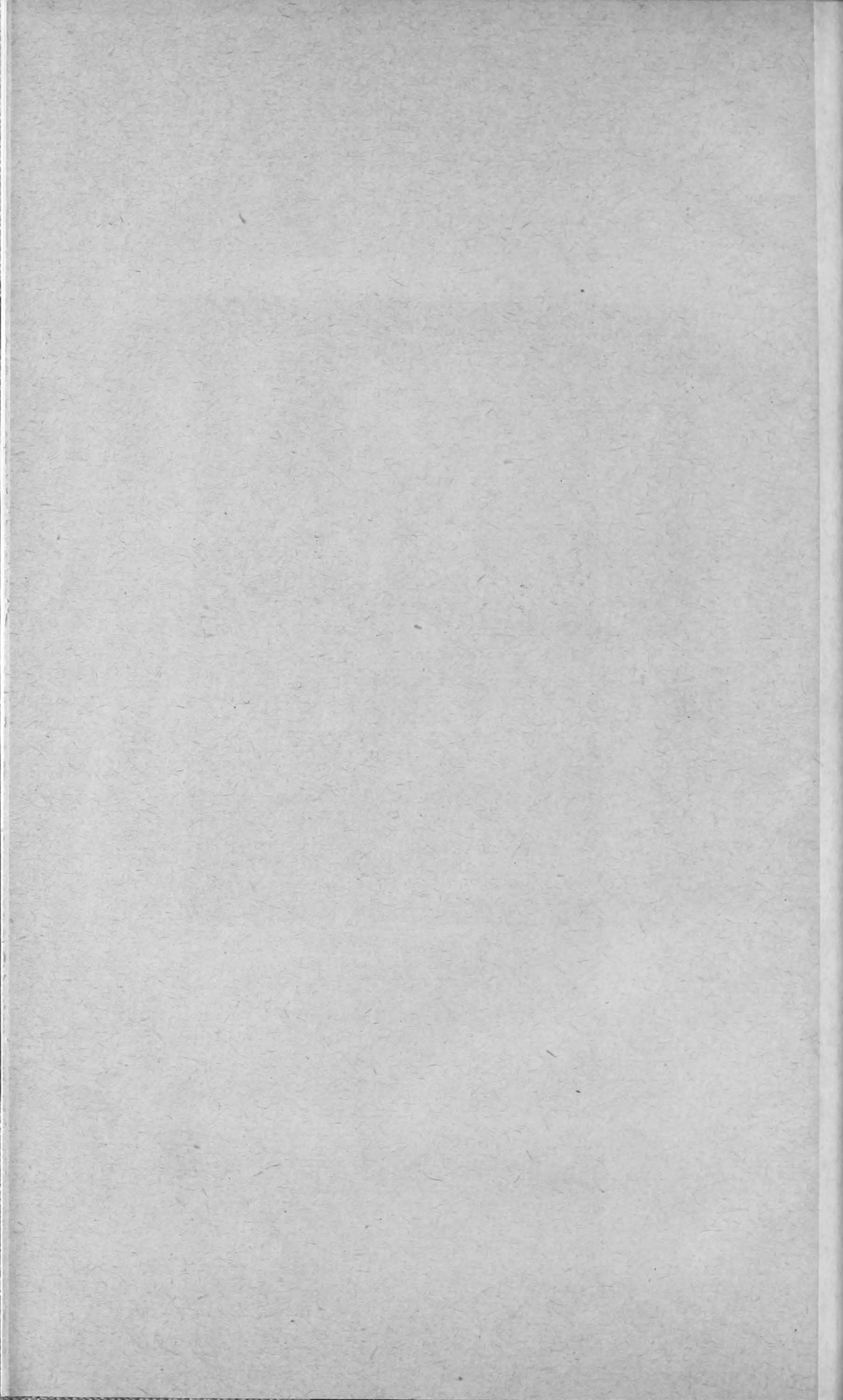
BIBLIOTEKA
SPOŁECZNO **POLITYCZNA**

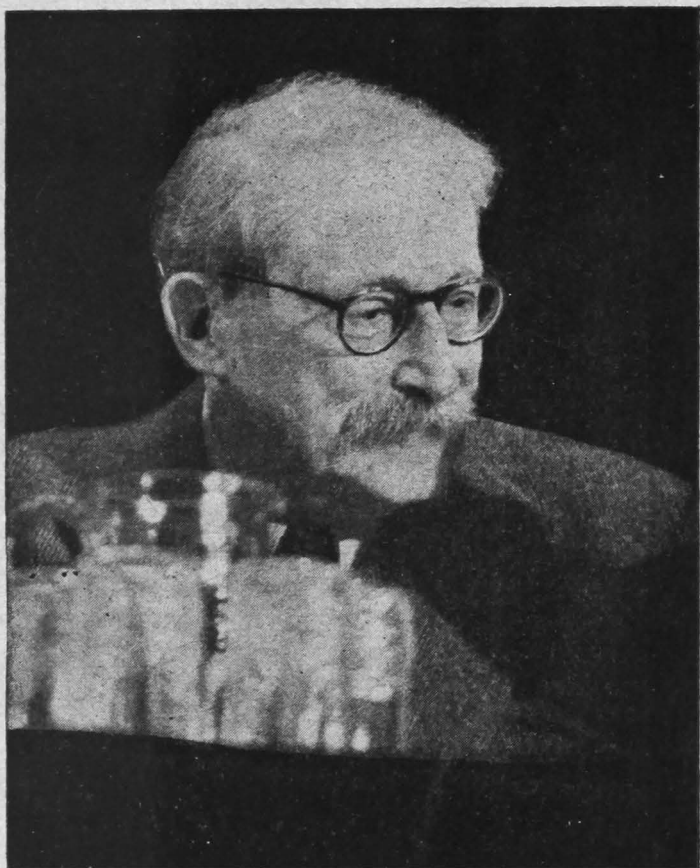
LEON BLUM
NA MIARĘ
CZŁOWIEKA

INSTYTUT **RZYM** **LITERACKI**
1947



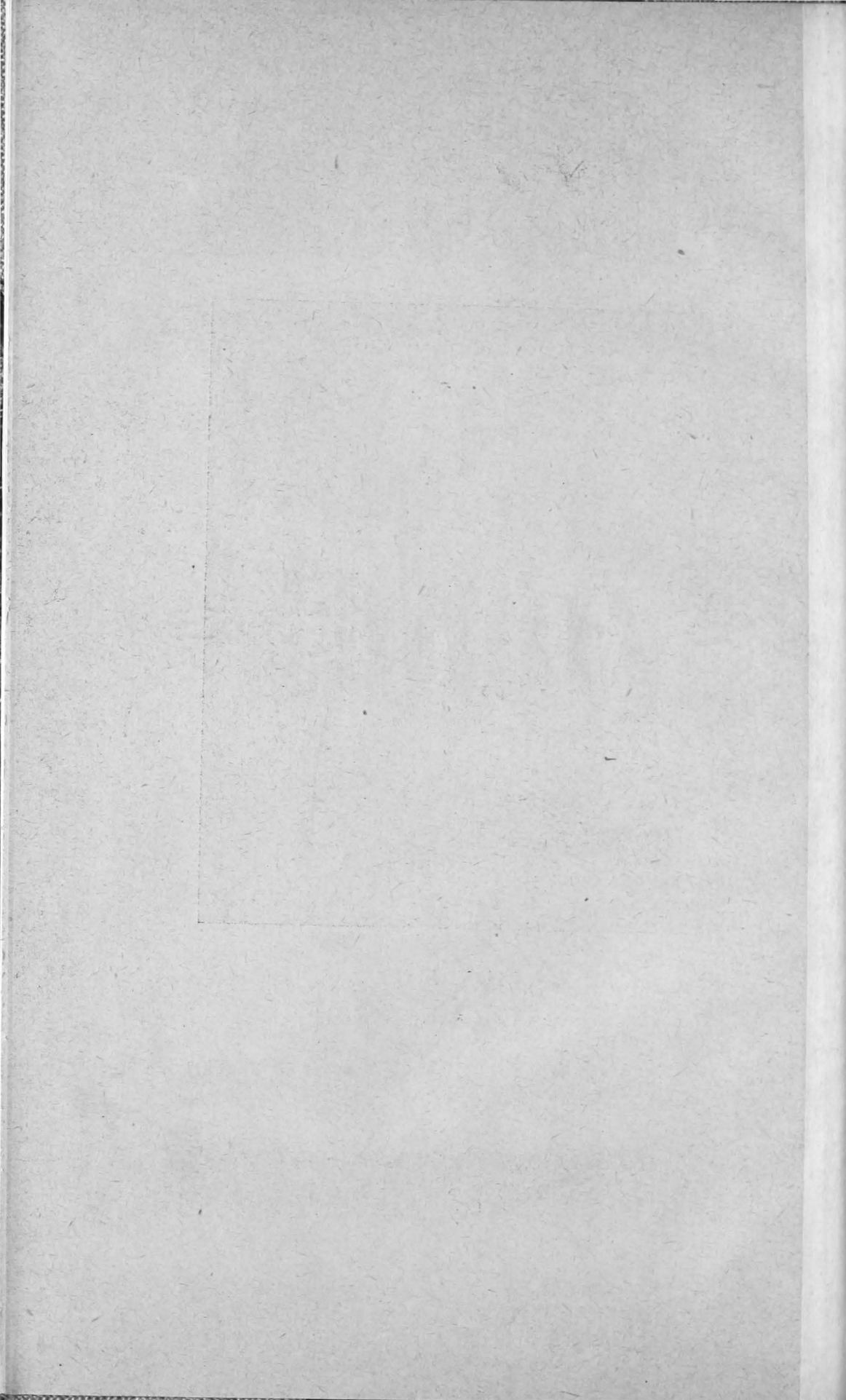
N A M I A R Ę
CZŁOWIEKA





LEON BLUM

Przywódca socjalizmu francuskiego



LEON BLUM

NA MIARĘ CZŁOWIEKA



INSTYTUT LITERACKI
R Z Y M 1 9 4 7

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005519717

PRINTED IN ITALY



I 302.347



O.G.I. - VIA CESENA 14 - TELEFONO 767166 - ROMA

1947 D 76

PRZEDMOWA

Pod koniec poprzedniej wojny⁴ napisałem brzuszurę, przeznaczoną dla młodych, a zadedykowaną mojemu synowi. Syn mój zbliża się teraz ku czterdziestce. Jest jeńcem w Niemczech. Znam prostolinijność jego umysłu i siłę charakteru; jemu, ani — mam wrażenie — towarzyszą jego niewoli, nie potrzeba rady ni pocieszenia.

Ale wszyscy młodzi ludzie, będący teraz w wieku, w którym on był podówczas, dorastający z dala od ojca-jeńca, z dala od ogniska rodzinnego; wszyscy ci, co na próżno w ruinach przeszłości poszukują pewności, reguły, wiary; wszyscy ci, którzy na próżno w mrokach przyszłości wypatrują światełka ukojenia, gwiazdy przewodniej? Czyż nie trzeba ku nim się zwrócić, czyż nie trzeba ich wspomóc? Czyż nie jest obowiązkiem tych, których życie zmusiło do zebrania pewnego doświadczenia, zastanowić się dokładnie, by bez najmniejszej zarożumiałości starszych, natomiast z czułą troskliwością udzielić im podstawowych przykazań mądrości, podstawowych zasad czynu?

Oto cel, który sobie przede wszystkim wyznaczyłem, kreśląc te karty. Pisałem je w więzieniu, w którym jestem do tej pory. Nie wiem, w jaki sposób dotrą one do niezna-

nich czytelników, którzy mi je podszepnęli i których uważne twarze zdają się mnie otaczać. Wiem jednak, że kiedyś dotrą do nich. Można mówić i pisać z głębi więzienia: w kraju o szlachetnych instynktach, jak nasz, zwiększa to nawet wagę myśli i dodaje oddźwięku głosowi. Zamek moich drzwi i krata mego okna nie oddzieliły mnie od Francji. Żyję jej nadziejami, jak powietrzem, którym oddycham; pograżam się we wszystkich jej smutkach. Czuję, jak życie moje każdej chwili bije tętnem jej życia, podczas gdy samotność nadaje większą wagę i z pewnością większą niezależność moim rozmyślaniom.

Pokolenie, do którego należę, nie podołało swojemu zadaniu. Wiem o tym lepiej, niż ktokolwiek inny, ale nie podejmuję jego obrony. Z jego błędów, nieszczęść i złudzeń próbuję wyciągnąć naukę dla pokoleń nadchodzących, dla tych, które jutro dźwigać będą ciężar na swych barkach. Doświadczenia nasze bardziej służyć mogą innym, niż nam samym. W tej nadziei zebrałem moje rozważania, idąc za wątkiem samotnego rachunku sumienia. Głównym moim celem było przestrzec tak młodzież jak i wiek dojrzały przed nastawieniem, na które składa się może tyleż próżności, co zniechęcenia.

Francja jest dziś w okresie bezkrólewia, lecz nie otworzyła się przed nią nicość. Nie wszystko zostało obalone, nie wszystko trzeba zaczynać od nowa. Królowa przypięczętowała rozkład naszej organizacji wojskowej; zaznaczyła upadek klasy kierującej; zdyskwalifikowała w opinii publicznej system polityczny, który klasa ta urobiła na swoje podobieństwo; zniszczyła istnienia ludzkie i bogactwa. Ale nie zniszczyła Francji, jej ludu, ziemi, charakteru, tego całokształtu tradycji, przekonań i dążeń, które dziś nazywamy jej duchem.

Z punktu widzenia naszej potęgi militarnej wojna, być może, jest skończona, z punktu widzenia naszego istnienia narodowego — skończona nie jest. Francja nie jest jeszcze pokonana, los jej nie przesądzony, skoro wojna trwa nadal — bez niej, lecz dla niej. Wolno jeszcze mieć nadzieję, że wyjdzie z niej niepodległa, nienaruszona, być może wzbo-
gacona duchowo, w Europie oswobodzonej i pokojowej.

AUTOR

ROZDZIAŁ I.

Żaden przełom dziejowy nie pozostawia narodu w poprzednim stanie rzeczy, i dlatego właśnie każdy przełom, niezależnie od jego wyników materialnych, jest faktem rewolucyjnym. U kresu długiej wojny, zwycięstwo przynosi narodowi wstrząs nie mniejszy, niż klęska.

Francja doświadczyła tego dwadzieścia lat temu. Wszelkie normalne stosunki życzliwości, przyzwyczajenia, interesy zostały przerwane, często na zawsze. Rodziny osiercone lub rozproszone, ludność wydartą z korzeniami lub przesiedlona. Gwałtowne zmiany godzą w warunki życia, związki sąsiedzkie, zajęcia, majątki. Niepokoje, cierpienia, trwogi wszelkiego rodzaju, torują drogę uczuciom o formie lub treści religijnej, trosce o los jednostki, narodu, ludzkości. Cena życia osobistego, poddana niewielkim wahaniom w okresie pokoju, ulega gwałtownym przeskokom, lekceważona przez jednych, przeceniana przez drugich, zależnie od tego, czy wstrząs obudził w nich ducha poświęcenia, czy też rozwinął egoizm i obawę.

Wszystkie wreszcie wielkie przesilenia historii zdają się skazywać na emeryturę lub nawet na przedwczesną zagładę

pokolenia ludzi, już zdziesiątkowane, które brały w nich bezpośredni udział. Poza kilkoma starcami, zachowanymi na kształt bogów lub fetyszów, jak Thiers lub Clémenceau — których zresztą szybko odrzucono między rupiecie — zawierucha utorowała drogę młodym. Wyprzedzając prawidłowy bieg następstwa i dziedzictwa, młodzież nie tylko czuje się powołana przez przyszłość, ale niespodziewanie obarczona przedwczesnym obowiązkiem; szczeni się nim, ale go nie zna, waha się. Ci, co mogą wspomnienia swoje cofnąć o lat dwadzieścia, stwierdzą prawdziwość — rys po rysie — tego pobieżnego obrazu.

Ale po wojnie zakończonej kęską, po klęsce brutalnej i całkowitej, zostawiającej po sobie upokorzenie i przygnębienie, pojawia się zbiorowe uczucie innego rodzaju. Jest ono równie dawne jak ludzkie społeczeństwo — odnaleźć je można w religiach starożytnych, przede wszystkim u proroków żydowskich. Po przegranej bitwie naród grecki zastanawiał się, jakich to obrzędów zaniedbanie pozbawiło go opieki Boga Miasta; naród żydowski oskarżał się, głosem swych proroków, o pogwałcenie paktu przymierza z Bogiem Wojny. Instynktem narodów jest sprawiedliwość. Gdy zostały ugodzone, potrzebują wiary, że cios nie spadł bez przyczyny. Szukają w sobie, czym zawiniły. Tak więc klęska narodowa łączy się od początku dziejów z pojęciem grzechu i winy, z których rozwinąć się mogą: skrucha, pokuta, odkupienie.

Narody i ludzie skłonni są wierzyć, że przejście, które wstrząsnęło ich losem, ich jednych tylko dotknęło. Chyba mało jest w historii przykładów pielęgnowania poczucia grzechu i konieczności pokuty, z takim upodobaniem, jak w chwili obecnej doprowadzenia go do chorobliwej manii dobrowolnego samobiczowania; z drugiej strony nigdy to

poczucie winy nie było wykorzystywane z równie chytrą przewrotnością.

A jednak świat nie zna wiary dawniejszej. Wiara ta jest najstarszym ze złudzeń, bo przecież absurdem jest przypuszczenie, że historia podlega temu pierwotnemu wymiarowi sprawiedliwości. Katastrofa narodowa ma niewątpliwie swoje przyczyny, ale niekoniecznie są nimi przewinienia. Gdyby klęska miała być zasłużoną karą za błąd, za głupotę — wynikałoby stąd, że zwycięstwo jest nagrodą za mądrość, zasługę, cnotę. Nawet ci, którzy wierzą w plany Opatrzności, rządzące sprawami ludzkimi, nie tłumaczą ich sobie prawem tak prostym; drogi Boże wydają im się bardziej okrężne, dalekie, niezgłębione. Gdzież jest naród, którego zmienne koleje losów można by związać racjonalnie za mechanizmem nagrody i kary? Francja roku 1914 odniosła zwycięstwo. Czyż była poważniejsza, moralniejsza, bardziej pobożna niż Francja 1939 roku? Jakimiż to cnotami Hitler i Mussolini zasłużyli na swoje zwycięstwa? Za jakież winy Belgia, Holandia i Norwegia ponoszą swój los?

Przestańmy bić się tak hałaśliwie w piersi. Zawieśmy na kołku te umartwienia, obwinianie się publiczne, a raczej oskarżanie innych. W tej okrutnej surowości sądów są elementy niezdrowego amatorstwa, dobrowolnego zaślepienia. Potępienie zbiorowości powinno zacząć się od najsurowszego osobistego rachunku sumienia, a widzimy dobrze, że ci, co najzuchwalej miotają klątwy — na ogół unikają starannie zaczynania od własnej spowiedzi, od własnego « mea culpa ». Poniechajmy tego. Jest rzeczą naturalną, że naród po wielkiej klęsce, jak człowiek, gdy dozna wielkiego niepowodzenia lub wielkiego strapienia, zagłębia się we własne sumienie, przetrząsa je, stara się w nim rozejrzeć.

Roztrząsanie to powinno być surowe — słusznie — i może doprowadzić do surowych wniosków. Ale niech nie będzie z góry nastawione na wyznanie upadku i nikczemności. Winni jesteśmy wtenczas, gdy rozum nam wskazuje, że postąpiliśmy źle, a nie wtedy, gdy nas wypadki zawiodły. W tym duchu powinniśmy badać siebie i osądzać. Obowiązek poczucia sprawiedliwości istnieje także wobec siebie samego.



Kiedy naród dozna ciężkich ran, pierwszym jego odruchem, bo najprostszy, jest oskarżać to, co ma bezpośrednio pod ręką: swoich odpowiedzialnych przywódców, swój ustrój polityczny, swoje instytucje. Ten odruch instynktowny często trafia w sedno. Francja w ciągu XIX wieku doznała dwóch wielkich klęsk. Po upadku Paryża i Waterloo winien był cesarz; po Sedanie i Metzu winne było cesarstwo.

Jak w ubiegłym wieku instynkt narodu oskarżył samorzutnie cesarza i cesarstwo, tak samo po obecnej klęsce część opinii szukała winy w ustroju republikańskim i w przywódcach Republiki. Nie była to tym razem opinia powszechna, ani tym bardziej samorzutna, ale mniejsza o to. W każdym razie rozpowszechniła się, nabrała rozgłosu, właśnie dlatego, że odpowiadała odwiecznej skłonności.

Nie ograniczono się do zrzucenia odpowiedzialności za katastrofę na ustrój państwa, lub na jego ówczesnych przywódców; nie tylko winiono konstytucję republikańską i zespół kierowniczy Republiki — posunięto się o wiele dalej szukając przyczyn nieszczęścia, w treści i formie całej złożonej struktury życia społecznego. Jednym szerokim zarzuceniem sieci chciano z niego usunąć wszystko, co od

półtora wieku ożywiało doktryny, obyczaje, instytucje. Powiedzmy bez ogródek: poza przewrotem politycznym chciano dokonać kontrrewolucji obywatelskiej i społecznej. Odpowiedzialnością za klęskę obarczono nie tylko Republikę, rozciągnięto ją na Demokrację, na dogmat wolności osobistej, na zasadę przyrodzonej równości obywateli. Wszystkie myśli przewodnie, które od czasu Rewolucji Francuskiej stały się podwaliną społeczeństwa, które uszanowała i gwarantowała nawet Karta monarchii z 1814 roku i Konstytucje cesarskie, jakoby w pył obróciła zwycięska armia Hitlera. Nie tylko się ich zapiera, ale twierdzi się, że zburzone zostały bezpowrotnie, jak gdyby swoisty dowód przez oczywistość lub przez absurd unicestwił je; z szyderstwem oprowadza się nas po ich ruinach,

Wiem dobrze, że ci, co na tym pustkowiu budują na nowo, mają usta pełne przechwałek, ale nad tą ich próbą nie będę się rozwodził, mimo, że zdobią ją mianem Rewolucji Narodowej. Pierwszą jej wadą jest nietrwałość, gdyż jest skazana na to, iż nie przeżyje ani coraz bardziej prawdopodobnej klęski Hitlera, ani jego ostatecznego zwycięstwa.

Jej drugą wadą jest wewnętrzna sprzeczność. Niepewni pracownicy, którzy się jej podjęli, wahają się między dwoma jaskrawo sprzecznymi pojęciami; są to: z jednej strony nawrót do tradycji i dawnych zwyczajów Francji, z drugiej naśladowanie ustrojów totalistycznych, zbudowanych całkowicie przez niemiecki narodowy socjalizm i włoski faszym. Uczucia, będące podłożem tych dwu pojęć, jakkolwiek dowodzą braku inwencji, bezmyślnych przyzwyczajęń, nędzy umysłowej — są nie do pogodzenia, skoro nawrót do dawnej tradycji francuskiej wykazuje zaślepienie, pyszniące się wszystkim, co jest lub było narodowe —

podczas gdy naśladownictwo ustrojów totalitarnych jest wyrazem poniżenia, uległości wobec zwycięscy, służalczości. Pojęcia te mogą się nawet zbiegać, póki chodzi jedynie o zburzenie Francji republikańskiej; uzgodnienie ich, czy wzajemne ustępstwa przestają być możliwe, gdy chodzi o konstrukcję.

Nasza dawna monarchia, przesiąknięta abstrakcyjnymi i sentymentalnymi wierzeniami, gdzie władza królewska uosabiała prawdziwą hierarchię klas, korporacji, przywilejów, nie ma nic wspólnego z ponurymi autokracjami, gdzie bałwochwalcze uwielbienie jednego człowieka zastępuje religijną wiarę w zasady, a krwawe zachcianki brutalności zastępują zorganizowany majestat siły, gdzie piramida hierarchiczna grup i jednostek jest zniwelowana w fanatycznym niewolnictwie. Dyktatury totalitarne, które ze współczesnej cywilizacji zachowują jedynie dorobek materialny postępu, cofnęłyby społeczeństwa europejskie daleko poza stadium monarchii; poprzez wieki historii nawracają aż ku legendzie barbarzyńskich królestw i prymitywnych obrzędów szczepu.

I nie dość że obie te koncepcje nie dają się z sobą pogodzić; każda z nich oddzielnie jest błędzeniem po manowcach. Nie sposób odnowić dawnej Francji. Należy czcić zmarłych, można ich naśladować, nie można ich wskrzesić. Duch tradycji może trwać nadal, ale nikt nigdy nie potrafi zamknąć rzeczywistości aktualnej w nieistniejące już formy. Przypomnijmy sobie porównanie Jaurés'a, że można podsycać płomień tradycji, lecz niesposób wskrzesić popiołów.

Z drugiej strony któż śmiałyby przypuścić, że konstrukcja Hitlera lub Mussoliniego będzie trwalsza, niż dzieło Napoleona. Jakże mogłaby ustalić się mocno w Europie,

skoro nawet w krajach, gdzie powstała, związana jest z życiem swych twórców? Kilka luźnych składników może przetrwać; całość, istota, nie ostoją się. Bo przecież nie przekreśla się jednym pociągnięciem pióra dwudziestu wieków historii, bo przecież w postępie ludzkim jest siła niezniszczalna. Nic z tego, co zostało ustanowione przemocą i utrzymane przymusem, nic z tego, co poniża ludzkość i opiera się na pogardzie jednostki ludzkiej — nie może trwać.

Zbędne jest rozwodzić się nad tymi oczywistymi prawdami. Konstrukcja, której realizację czy projekty nam zachwalają, jest spaczona w samym swym założeniu. W tej chwili chodzi o to, by rozpatrzyć i osądzić dzieło burzenia. Przypominałem już, że odpowiada ono atawistycznym instynktom; nie dziwi mnie, że mogło urzec i pozyskać wielką część młodzieży. Pamiętam jeszcze własną młodość. Młodzież jest pełna entuzjazmu, systematyczna i nieprzejednana, umie potępiać, tak jak umie podziwiać. Wszystko zwalić, wyrzucić na śmietnik zdrowy nawet materiał, uszkodzony jedynie przez sam fakt burzenia, opróżnić miejsce dla nowego świata, stworzonego na własny obraz i podobieństwo, taki program ją zapala.

A więc wszystko było fałszem, miernotą lub podłością we wczorajszym społeczeństwie? Zastanówcie się, młodzi! Zanim weźmiecie oskard do ręki, odpowiedźcie na jedno tylko pytanie. Czy chcecie pokoju; nie nienawidzicie wojny? Jeśli wojna nie jest największym nieszczęściem dla narodu — bo naród, tak jak człowiek, częstokroć ratuje swoje życie, ryzykując je, a zresztą dla narodu tak jak i dla człowieka życie nie jest dobrem najwyższym — czy przyznajecie jednak, że wojna jest dla ludzkości najgorszą plagą? Czy przyznajecie, że jedynie pokój zabezpiecza pracę i

szczyćście osobiste ludzi, ciągłość postępu, zaspokojenie najwyższych potrzeb duszy ludzkiej? Czy zgadzacie się, że najszczytniejszym zadaniem jest wykorzenie z jutrzejszego świata samą nawet możliwość wojny? Tak, nieprawdaż? Lecz wobec tego, nie wszystko bez różnicy było godne potępienia we Francji wczorajszej, we Francji demokratycznej, we Francji Trzeciej Republiki, i dobrze byłoby, abyście się zawahali, zanim wywróćcie do góry nogami wszystkie bez wyboru warunki jej życia politycznego, moralnego i społecznego. Francja wczorajsza miała przynajmniej tę zasługę, że chciała powszechnie, a nawet jednogłośnie pokoju; była gotowa i przystosowana do pokoju.



Posuńcie się o krok dalej w waszych rozważaniach. Czy przyznajecie uczciwie, że gdyby wszystkie narody Europy stosowały ten sam ustrój polityczny i społeczny, co Francja — ten sam wzgardzony ustrój! — to wówczas wojna powszechna byłaby niemożliwa? Przyjmijcie, że państwo niemieckie i państwo włoskie byłyby wzorowane na naszej nieszczęsnej demokracji, obwinianej dziś z taką zuchwałością — czy pokój Europy nie byłby wówczas pewny i trwały?

Oczywiście, statut europejski zawierał wiele niedoręczności, wiele niesprawiedliwości, chociaż mimo wszystko Europa, przeobrażona przez Traktat Wersalski, mniej była absurdalna i mniej zła, niż w jakimkolwiek innym momencie historii. Ale gdyby wszystkie inne państwa Europy dzieliły nasz nieszczęsny ustrój, trudności powoli dałyby się rozstrzygnąć przez przyjazne układy, lub raczej z wolna zacierałyby się pod spokojnym działaniem czasu.

Poszukajcie, młodzi ludzie, w jakiej to chwili i za

czyją sprawą, możliwość wojny pojawiła się z powrotem w Europie? Czyż nie jest jasne, że w chwili, gdy Hitler zagarnął władzę? Że za sprawą rasizmu hitlerowskiego? W przeddzień jeszcze, Europa idąca za nakazem ducha demokratycznego, organizowała się dla pokoju; w przeddzień jeszcze, rozbrojenie ogólne było nadzieją, a nie mrzonką. Możliwość wojny wzrastała w Europie w miarę jak despotyczna władza Hitlera rosła w Niemczech. Nie mogło być inaczej; tyranie z istoty swojej są zdobywcze tak, jak demokracja jest pokojowa.

W chwili, gdy to piszę, prezydent Roosevelt i Churchill ogłaszają osiem punktów pokoju, które demokracje anglosaskie mają zamiar wprowadzić w życie po rozbiciu Hitlera, a oficjalni przedstawiciele rządu francuskiego odpowiadają z szyderczą pogardą: « znamy tę litanię — osiem punktów Roosevelta i Churchilla, to czternaście punktów Wilsona. Ta naiwna szlachetność mogła wzbudzać iluzję dwadzieścia pięć lat temu; dziś ciężkie doświadczenie nauczyło nas, że nie zapewnia ona ani sprawiedliwości ani pokoju ».

My natomiast wiemy, że przyczyną niepowodzenia Ligi Narodów po tamtej wojnie była najpierw zgorzkniała i podejrzliwa nieufność, z jaką dzieło to zostało poczęte i prowadzone, powtórne odsunięcie się Stanów Zjednoczonych, a wreszcie i przede wszystkim pojawienie się w Europie partii i ustrojów dyktatorskich. Gdyby podjęto ją raz jeszcze, szczerze i odważnie, z całkowitym udziałem Stanów Zjednoczonych, w Europie oczyszczonej z dyktatur, któż by śmiał przepowiadać jej niepowodzenie? któż śmiałby go pragnąć?

Dyktatura i wojna, demokracja i pokój — czyż nie

rozumiecie, że każde z tych zestawień wyraża związek konieczny i nieunikniony. Nie macie więc prawa odrzucać za jednym zamachem demokracji do lamusa. Nie macie prawa potępiać w czambuł dzieła ludzi, którzy od stu pięćdziesięciu lat usiłowali położyć jej podwaliny w świecie, jako skażonego błędem lub oszustwem. Macie tylko jedno prawo, jeden obowiązek: dochodzić, dlaczego nasz wysiłek się nie powiódł, aby móc podjąć go po nas bardziej owocnie.

Odpowiedzcie mi z pewnością, że młodzież nie ma już więcej zamiaru zapuszczać się, jak wy, w chimeryczne zamierzenia, którym przypisujecie w pewnej mierze nasze nieszczęście; i wiem jaki był pierwszy odruch wielu z was na klęskę. Razem ze wstrętem do wszelkiej obecnej rzeczywistości przyszła potrzeba skupienia się i wnikięcia w siebie, w kraj. Chcieliście odosobnić Francję tak, jak się izoluje pokutnika lub chorego. Wymyśliliście dla niej samotnicze leczenie, idące w głąb i wymagające czasu, kurację klasztorną czy sanatoryjną. Uważacie, że wojna, która trwa nadal, nie nakłada już na Francję obowiązków, że naród nasz nie ma już nic wspólnego z tą wojną, że nie powinien się już ponad miarę niezbędną dla jego egzystencji materialnej mieszać do spraw Europy; że przede wszystkim powinien pielęgnować sam siebie, nabierać nowych sił; gdy znowu będzie mocny, wtedy zobaczymy...

Nie wy pierwsi dajecie takie rady pobitemu narodowi. Fichte tak mówił, Stein tak działał w Prusach po Jenie i Tylży; w sumie taka była treść propagandy hitlerowskiej w Niemczech po Wersalu, takie stanowisko Thiers'a, a zwłaszcza Gambetty po Traktacie Frankfurckim.

Ale co macie zamiar zrobić z Francją, wzmocnioną w tej samotności? Jaki cel wyznaczacie jej odzyskanym si-

łom? Czy odwet, o którym się nigdy nie mówi, a o którym zawsze się myśli? Czy chcecie Francji silnej, po to, aby korzystała w pełni z okazji, które nastroczyłyby kiedyś nieunikniona sprawiedliwość historii, albo może, aby je sama prowokowała? Odwet wtedy wywoła nowy odwet, i z wojny w wojnę, z pokolenia w pokolenie narody nie przestaną podawać sobie nawzajem, jak mówił Jaurés, zatrutą czarę Atrydów.

Nie, przecież nie tak sobie wyobrażacie przyszłość. Chcecie utrwalić pokój. Ale w takim razie siła francuska nie powinna się nagromadzać i przegrzewać, jak para skondensowana w zamkniętym kotle; powinna właśnie rozchodzić się; powinna być użyta do wolnej współpracy ludów; do ich równouprawnionej braterskiej organizacji. Wolność, równość, braterstwo staną się waszą dewizą międzynarodową. Głoście ją po klęsce, jak myśmy ją głosili dwadzieścia lat temu, z większą nieco bezinteresownością, bo naza jutrz po zwycięstwie. Wtedy, chcąc nie chcąc, wstąpicie w ślady tych republikanów i demokratów, których przed chwilą zapieraliście się.



Pragnąłem przytoczyć ten jeden argument, aby pokazać bezsens tych ślepych potępień i niejasnych odpraw. Mógłbym ich przytoczyć o wiele więcej, wybrałem ten, którego ważkość wydaje mi się nieodparta. Nikogo nie zdziwi, mam nadzieję, że taki użytek robię z idei i samej nazwy pokoju, w chwili gdy jesteśmy świadkami najbardziej niehumanitarnej fazy wojny, gdy nawet chcąc nie chcąc uczestniczymy w jej okrucieństwach.

Dobry Niemiec rozkoszuje się opowiadaniem o nocnym

bombardowaniu Londynu, a my oklaskujemy wiadomość o tragicznym końcu « Bismarcka »... zatopionego wraz z całą załogą; kiedy czytamy w komunikacie z frontu niemiecko-sowieckiego, że « cała dywizja została zniszczona » nie robimy najmniejszego wysiłku, ażeby sobie wyobrazić rzeczywistość, którą te słowa oznaczają, a której obraz jest wstrząsający; wydajemy okrzyk radości lub rozczarowania, zależnie od tego, czy chodzi o dywizję nieprzyjacielską, czy sojuszniczą. Jak u widzów igrzysk rzymskich, namiętność stępiła wszelką wrażliwość.

Ale, czy pozostaniemy po wojnie takimi, jakimi mimo woli nas wojna uczyniła? Trzeba by na zawsze zwątpić o losach ludzkości, gdyby wojna nie miała w nas zostawić przynajmniej postanowienia, że ta katastrofa będzie ostatnia. Postanowienie to będzie może przekreślone przez wypadki; już tak bywało; lecz byłoby strasznym, gdyby w nas nie powstało; jest ono konieczne. Jeśli go nie poweźmiemy szczerze i uczciwie, jeśli zgodzimy się z góry na powiedzenie, że wojny nie ustaną nigdy, wtedy nie warto by nawet wspominać o budowaniu nowego świata. Przyszłość stałaby się równie gorzką, jak jest nią teraźniejszość.

Nie mogę się tu powstrzymać od podkreślenia jednej z osobliwości chwili obecnej, która jest może tylko pozornie osobliwa. Ludzie, dzienniki, ugrupowania, które głosiły i rozpowszechniały we Francji szowinizm, które paczyły na własny użytek piękne słowo « narodowy », popchnęły potem do zawieszenia broni i przyklasnęły kapitulacji. Wszystkie one głoszą dziś kolaborację ze zwycięzcą, lub ściślej mówiąc z wrogiem.

A jednak w pierwszych miesiącach wojny, kiedy prawie cała Francja spodziewała się nie rychłego, lecz pewnego zwycięstwa, ci sami ludzie z góry

już określali warunki pokoju z niebywałą surowością. Chcieli raz na zawsze skończyć nie tylko z Hitlerem i jego bandami, ale i z milionami żywych istnień, które obejmuje nazwa Niemiec. Żądali nie tylko poddania ich pod kurtelę, ale rozbioru, ale przyłączenia wielkich obszarów do Francji. Piętnowali jako wrogów ojczyzny demokratów i socjalistów, bo ci nie oczekiwali od zwycięstwa innych owoców, jak tylko « nowego porządku », takiego, aby solidarna współpraca narodów stworzyła materialną gwarancję pokoju. Dziś płaszczący się przed siłą, wczoraj gotowi byli siłę nadużyć, a jutro to samo powtórzą. We Francji na nowo wolnej i silnej znowu staną się « narodowcami » i szowinistami. Znowu podejmą ataki na zdrajców « pacyfistów », którzy nie wyrzekli się oparcia pokoju o wolność ludzi i braterską równość państw. I oni to tym samym ludziom, których wczoraj obwiniali, których jutro znowu potępiają jako « pacyfistów » dziś zarzucają « wojowniczość ».

Bo oto druga strona pozornego paradoksu. Pacyfiści wczorajsi i jutrzejsi, właśnie dlatego, że rozumieją pokój jako wolny układ wolnych narodów, żądali walki bezwzględnej i nieugiętej o niepodległość narodową. Nie solidaryzują się z zawieszeniem broni, które oddawało Francję, i niemal całą Europę pod panowanie Hitlera. Odrzucają « kolaborację », która dla Niemiec oznacza wyłącznie eksploatację na ich wojenne potrzeby wszystkich francuskich zasobów, dla Francji zaś znaczy niewątpliwie niewolnictwo, abdykację, zdradę obłudną po zdradzie cynicznej odrębnej kapitulacji.

A przecież ta kapitulacja nie mogłaby przynieść od zwycięzcy — uprawiającego wiarołomstwo jako system — nawet najmniejszego złagodzenia warunków w chwili ostatecznego pokoju. Socjaliści nawet wtedy, gdy usiłowali po-

śpiesznie uzbroić Francję, której zbrojenia zrujnowali szowiniści nacjonalistyczni, nawet gdy nawoływali naród francuski, zmuszony przez despotyczną ambicję Hitlera do wypowiedzenia wojny, ażeby wytrwał do końca sił, pozostawali w istocie wierni sobie i konsekwentni. Pozostawali ludźmi pokoju, godnego tej nazwy, i pokój pozostał jedynym ich « celem wojennym ». Młodzi ludzie, spytajcie waszego sumienia, czy to nie oni dwukrotnie mieli rację?

ROZDZIAŁ II

Przed chwilą wspomniałem po krótkce precedens historyczny, nad którym warto by się było na chwilę zastanowić; w kolejności naszych katastrof militarnych, klęska 1870 roku jest bezpośrednią poprzedniczką klęski 1940 roku. Ugodziła ona wówczas naród bardziej pewny i bardziej podufały w swej sile, bo legenda napoleońska okrywała jeszcze Francję i nieliczni byli ci, nawet spośród wrogów cesarstwa, którzy by nie twierdzili, że armia francuska jest z natury swej niezwyciężona. Upadek więc był jeszcze brutalniejszy: w miesiąc po rozpoczęciu wojny cesarz kapitulował w Sedanie, wraz z naszą przedostatnią armią regularną; ostatnia była oblężona w Metz i niebawem wydana nieprzyjacielowi. Tak jak w roku 1940, upadek militarny wywołał przewrót polityczny.

Różnica polega na tym, że tamta rewolucja dokonywała się otwarcie, jako skutek jawnie i ostro manifestującej się woli narodu, a nowy rząd republikański nie utworzył się, by błagać o zawieszenie broni, ale by wojnę za wszelką cenę prowadzić dalej, pomimo zniweczenia armii cesarskiej, apelując do pospolitego ruszenia patriotyzmu francuskiego. Byli i wtedy, tak jak w 1940 roku, pokątni zwolennicy natychmiastowego pokoju za wszelką cenę; Gambetta, in-

spirator i bohater narodowego oporu, okrzyczany był przez nich jako « szaleniec bez rozumu ».

Ustrój polityczny, obalony przez pruskie zwycięstwo, został wówczas powszechnie uznany za sprawcę klęski francuskiej. Powiedziałem, że słusznie i wierzę w to. W ciągu pięciu czy sześciu lat poprzednich, niebywały łańcuch błędów — Polska, Dania, Meksyk, przymierze prusko-włoskie, Luksemburg, wyprawa rzymska — dławił Francję coraz ciaśniejszym kręgiem, z którego jedynym logicznym wyjściem była porażka lub awantura. W ostatniej jednak chwili niespodziewany zbieg okoliczności byłby pozwolił cesarzowi wybrnąć z sytuacji godnie i pokojowo. Nie wykorzystał go; jakieś urzeczenia, nieunikniona tragedia autokracji rzuciła go w zaślepieniu na przeciwnika, którego przecież od czasu Sadowy nie miał prawa lekceważyć. Już pierwsze potyczki kampanii ze skandaliczną jasnością wykazały nie tylko niedostateczność naszego uzbrojenia, ale zupełny brak kompetencji, porządku i jakiegokolwiek przygotowania technicznego.

Jakiemu wewnętrznemu skażeniu ustroju przypisywano te błędy? Już przed samą Sadową odpowiedź współczesnych brzmiała jednogłośnie: błędami ustroju cesarskiego były: władza personalna, pomieszanie wszelkiego rodzaju uprawnień w ręku jednego człowieka, przed którym wszyscy byli odpowiedzialni, a który de facto przed nikim nie odpowiadał, zniesienie wszelkiej kontroli w parlamencie, wszelkiej wolnej dyskusji w prasie i opinii, tajne prowadzenie spraw wewnętrznych i zagranicznych, sprowadzanie ich do intryg gabinetowych.

Takie były przyczyny zła i po nieszczęśliwym pokoju, z którego jednak honor narodu, pogrążonego w żałobie, wyszedł cało, wszyscy byli zgodni co do środków zaradczych. Rojaliści, nawet ci, co lgnęli do « prawowitej » ga-

łęzi dynastii, zgodzali się z republikanami, że przede wszystkim należało zwrócić Francji wolność, jawny rząd, odpowiedzialny przed wybranymi przedstawicielami kraju, niezależność prasy i opinii. A więc to, co dziś jest uważane za lekarstwo, było wtedy chorobą, a to co za chorobę, było lekarstwem.



Kilku myślicielom jednak nie wystarczały te bezpośrednie wnioski, usiłowali oni głębiej przeniknąć rzeczywistość narodową. Rozważali ją z tym większą troską, że w ślad za świeżą klęską nastąpił wstrząs bardziej przerażający: Komuna paryska. Poprzez instytucje polityczne państwa, sondaż ich sięgał aż do podstaw moralnych społeczeństwa. Czy umysł i wola jednostek i grup nie były spaczone zasadniczo — w tym samym stopniu, co ustrój rządowy?

Renan, Taine i kilku innych tworzyli elitę grupy, która tak myślała: książka, wydana przez Renan'a po wojnie i Komunie, nosi tytuł « Reforma intelektualna i moralna ». Francja upadła intelektualnie i moralnie, a klęska militarna i ruch rewolucyjny były zarówno wyrazem tego upadku, jak i karą. Sam ten upadek mógł być uważany poniekąd za konsekwencję ustroju autokratycznego, ale rozwinął swoje własne skutki i wymagał oddzielnego leczenia, bez którego « Odnowienie Narodowe » pozostałoby dziełem powierzchownym lub fikcją. Rozliczne były jego przejawy: lekomyślność, której nie należy utożsamiać z wesołością, cechą autentyczną temperamentu francuskiego, próżność, brak poważnego stosunku do rzeczy poważnych, brak uczciwości i skrupułów w interesach, żądza pieniędzy i uciech, zaraza zbytku, ostentacyjne rozluźnienie więzów rodzinnych i godności domowego ogniska. Zawalenie się cesarstwa było

jakby biblijnym końcem wielkiej orgii, wciągającej zwolna całe społeczeństwo burżuazyjne w swoje piekielne wiry.

Monarchia już kiedyś dała przykład takich okresów publicznego wyuzdania: podczas Regencji, w końcu panowania Ludwika XV. Wtedy jednak zepsucie ogólne nie naruszyło kultury intelektualnej, ani należnego jej szacunku ze strony społeczeństwa, a na to właśnie Renan, Taine i ich przyjaciele najbardziej byli wrażliwi.

Francja za cesarstwa pozwoliła na upadek kultury ogólnej; dopuściła do poniechania wszelkich bezinteresownych studiów. Puściwszy luzem zgubne skłonności, które umiały zdyscyplinować w wielkich okresach przeszłości — upodobania do « ducha bulwarowego » i przyzwyczajenie do « pompy krasomówczej » — pozwoliła Niemcom prześcignąć się we wszystkich najwyższych osiągnięciach myśli, nauki, erudycji.

Okazała się również niezdolną do zorganizowania — wzorem Prus — solidnego szkolnictwa ludowego. Weszło wówczas w zwyczaj przytaczać nauczyciela ludowego jako jeden z czynników pruskiego zwycięstwa, w tej samej mierze, co karabin lub armatę Kruppa. Praktyczny wniosek był prosty. Nie wystarczyło otynkować lub pomazać świeżą farbą budowlę, nadwątloną w samych podstawach: należało rozpocząć pracę od fundamentów, przerobić całkowicie system nauczania i wychowania, przywrócić zdrowe zasady stosunkom rodzinnym i społecznym — krótko mówiąc, odnowić wszystkie czynniki, które wpływają na rozwój jednostki, a co za tym idzie na opinię ogółu, a więc — w demokracji — na rząd.

Oto jak siedemdziesiąt lat temu zareagowano i jakie wysnuto nauki z katastrofy narodowej. Nic bardziej słusznego, niż podjąć dzisiaj podobną pracę. Ażeby nakreślić pobitemu

narodowi praktyczny plan rozważań i odbudowy, aby zalecić mu wysiłek wewnętrzny i wskazać właściwą drogę postępowania, która przywróciłaby mu skromność i dumę zarazem, mądrość i zapał w pracy, zgodzilibyśmy się wszyscy na doszukiwanie się w instytucjach i obyczajach wad organicznych lub funkcjonalnych, które spowodowały klęskę.

Ale nie wolno dalej posuwać analogii. Francja miała prawo i obowiązek w 1871 roku zrzucić na ustroj konstytucyjny odpowiedzialność za nieszczęście, które ją dotknęło. Dziś nie ma do tego prawa, Cesarstwo zawiniło — Republice po prostu się nie poszczęściło. Cesarstwo było złe i zgubne w swym założeniu autokracji personalnej — Republika jest sprawiedliwa i płodna w swojej zasadzie rządzenia narodem przez naród. Zbłądziła jedynie wadami organizacji i funkcjonowania, których powody z łatwością wykazać można i łatwo im zaradzić. I jeszcze mniej prawa mamy oskarżyć jej ideologię, którą uświęciło tyle bohaterskich poświęceń, której zasadę zachowały nawet oba cesarstwa, a która znalazła swój dogmat w Deklaracji Praw Człowieka, a obrzęd swój w głosowaniu powszechnym.

Tak, jak w 1871 roku reforma intelektualna i moralna jest dziś konieczna, ale najpobieżniejszy przegląd wykaze, że wady, które należy poprawić, są całkowicie niezależne od ustroju konstytucyjnego i od ideologii, na której jest on oparty. Na przykładzie jedynym, lecz ważkim wykazaniem, jaką lekkomyślnością byłoby krótkowzroczne skazywanie na śmierć zasad demokratycznych. Przyjrzyjmy się bliżej zarzutom przeciw temu ustrojowi, który wczoraj jeszcze miał jedynie zwolenników i pochlebców, a którego obrona wymaga dziś dużej odwagi.

Cesarstwo pragnęło wojny, podobnie jak wszystkie znane autokracje, które kończyły na wojnie, nawet gdy zaczynały od zaprzysięgania pokoju. Chciało wojny dla utrzy-

mania prestiżu, dla interesów dynastycznych, dla wyrównania za jednym zamachem szeregu szalonych błędów, które wywodziły się z autokracji, lecz pozostawiały upokorzonej Francji uczucie poniżenia.

Francja republikańska i demokratyczna nie chciała wojny. Ze zwycięstwa 1918 roku nie chciała uzyskać niczego poza trwałym, organicznym pokojem. W tym kierunku szła jej wola zbiorowa; ku temu celowi zmierzały wszystkie jej dążenia i niewątpliwie nie było jeszcze w historii przykładu narodu tak ogólnie i tak zdecydowanie pacyfistycznego. Nie miała potrzeby podnosić się z upadku, skoro wyszła z triumfem z ostatniego europejskiego kryzysu, skoro uważała siebie za najsilniejszą i była za taką uważana. Nie potrzebowała umacniać lub zdobywać popularności dla ustroju wewnętrznego, którego nikt, w chwili dojścia Hitlera do władzy, nie kwestionował, za wyjątkiem kilku grup bez znaczenia, złożonych z teoretyków lub spisowców. Zresztą skoro sam ustrój był w istocie swej pacyfistyczny, nie w wojnie szukałby wzmocnienia.

Można stwierdzić, jako fakt niezbity, że w chwili, gdy Hitler doszedł w Niemczech do władzy, nie było w Europie najmniejszego ryzyka, żadnej racjonalnie dającej się przewidzieć możliwości wojny; a historia z pewnością potwierdzi tę prawdę, którą każdy Francuz dwa lata temu uważał za jasną i bijącą w oczy, że wojna została wprowadzona w perspektywę europejską przez Hitlera, że przez niego została narzucona Francji republikańskiej.

Daleki jestem od przeczenia, że od tej chwili popełniano błędy. Ale jaki z nich był najcięższy? Że nie uświadamiano sobie, nie przeczuwano niebezpieczeństwa, że nie dojrzano dość szybko i jasno hitlerowskiego planu zbrojenia, odwetu i podboju, że nie śledzono fatalnego i nieprzebieganego jego rozwoju. Francja, ponieważ była istotnie pa-

cyfistyczna, chciała wierzyć w możliwość „pokojowego współistnienia” między demokracjami Europy a wojowniczą autokracją, która wtargnęła w Europę. Na rzecz utrzymania pokoju czyniła Francja wiele poświęceń, coraz bardziej kosztownych, których rezultatem było jedynie osłabienie jej prestiżu na zewnątrz, narażenie jej spójności wewnętrznej a w konsekwencji zwiększenie niebezpieczeństwa: pakt czterech, zaniechanie sankcji przeciw Włochom, 7 marca 1936, Monachium.

Zastanawiam się dzisiaj, czy już w 1933 roku Francja nie powinna była siłą zabronić Niemcom, jeszcze nieuzbrojonym, oddania władzy Hitlerowi i jego partii. Nikt wówczas we Francji nie wystąpił z projektem brutalnego wtargnięcia w sprawy niemieckie — a jednak uratowałoby ono Niemcy i ocaliło Europę.



Przyznaję, że wiele było błędów tego rodzaju, z których Francuzi otrząsali się powoli, a wiele jeszcze w krytycznej godzinie w nich tkwiło. Przyznaję, lecz się nie wstydzę, bo były to błędy szlachetne, a raczej złudzenia, świadczące o wierze — chociaż przedwczesnej — w przyszłość pokoju, w samą istotę pokoju. Cała niemal Francja wierzyła idealistycznie, że wola narodów niechętna jest wojnie, co było prawdą i że wspólna wola zatriumfowałaby wreszcie nad wojną, narzucając rządowi układy zawsze możliwe i zawsze nawet łatwe, pod warunkiem, że są zawierane w dobrej wierze.

W każdym bądź razie, jeśli możnaby republikańskiej Francji zarzucić że nie dość szybko i nie dość jasno przewidziała wojnę, to przynajmniej jest to znak i dowód, że tej wojny nie szukała, tak jak szukało jej Drugie Cesarstwo.

A jednak wojna zastała cesarstwo całkowicie odosobnione w Europie i w świecie, bez żadnego sojuszu, bez przyjaźni, bez sympatii, gdyż odstręczyło wszystkich niekonsekwencją swych wybryków, wzniciło podejrzenia swymi ambicjami i nierealnymi mrzonkami.

Republika francuska, w chwili pojawienia się Hitlera, miała w Europie i w świecie jedynie sojuszników i przyjaciół. Wprawdzie zaznaczały się skutki uprzednich słabości: 7 marca*) oderwał Jugosławię i zaniepokoił inne państwa Małej Ententy: Monachium pozwoliło na wyeliminowanie Czechosłowacji i przygotowało nagły zwrot ZSRR; wojna domowa przerzuciła Hiszpanię do obozu autokracji; sojusz Hitlera i Mussoliniego, przez długi czas niepewny, utrwalił się nazajutrz po 7 marca i po wojnie abisyńskiej. Nieodwołalne sprzysiężenie zostało zawarte i Mussolini złożył Hitlerowi Austrię w ofierze.

Natomiast nigdy sojusz z Anglią nie był tak szczery i ścisły, a przyjaźń amerykańska, szczególnie przed Monachium, równie serdeczna i gorąca. Małe państwa Europy pozostawały związane z Francją układami lub sympatią. Dokoła aliantów skupiała się opinia międzynarodowa. Jednym słowem — Francja poważana i lubiana, zamiast Francji — przedmiotu podejrzeń i zawiści; Francja połączona najistotniejszymi więzami z wszystkimi potęgami demokratycznymi i pokojowymi świata, bo sama pozostała lub stała się na nowo bojowniczką demokracji walczących.

Być może, że z punktu widzenia techniki wojskowej, porównanie wykazałoby pewne podobieństwo z cesarstwem. Nie dlatego, aby armia republiki była w stanie nieładu we-

*) *Data wkroczenia wojsk niemieckich w roku 1936 do zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii (Uwaga tłumacza).*

wewnętrznego, który sparaliżował od pierwszej chwili mechanizm armii cesarskiej: wszystko było w porządku i na swoim miejscu. Nieprawdą jest, że stanęła do boju z tą druzgocącą nierównością uzbrojenia, której starano się dowieść cyframi, błagiędrsko fałszowanymi: prawdziwy stan rzeczy wyjdzie na jaw, okryje uczciwych zdumieniem, a oszczerców wstydem.

Prawdą jest natomiast, że jak Cesarstwo, tak Republika z opóźnieniem rozpoczęła wysiłek, bo zbyt późno zdała sobie sprawę z potęgi, która obok niej i przeciw niej wzrastała. Cesarstwo zbroić się zaczęło dopiero od 1867 roku, po Sadowie; Republika dopiero od końca 1936, podczas gdy Hitler od marca 1933 był już panem Niemiec i nie zmarnował ani jednego dnia.

Gabinet Gastona Doumergue'a zaprzestał usiłowań „pokojowego współlistnienia” z Hitlerem na podstawie planu ograniczeń zbrojeniowych i rozpoczął czynną dyplomację zawierania i zacieśniania sojuszów, którą Niemcy dość słusznie uważać mogły za próbę okrążenia. Koniecznym więc było równoczesne, natychmiastowe i skuteczne przebrojenie Francji. A jednak gabinet Doumergue - Petain zwlekał z tym niemniej, niż jego poprzednicy i następcy bezpośredni, mimo iż się ogłosił rządem „silnej ręki”, „Obrony Narodowej”, a nawet „Odnowy Narodowej”.

Prawdą jest również, że armia Republiki, tak jak i armia cesarska grzeszyła kompleksem zarozumiałej rutyny; nazajutrz po zwycięstwie 1918 roku, tak jak i w przeddzień klęski r. 1870, obwołano ją pierwszą armią świata; w ciągu piętnastu zresztą lat była nieomal jedyną. Żył w przekonaniu o swej wyższości; był to dogmat wiary — nie chcę wymieniać ludzi, którzy głosili go jeszcze w chwili rozpoczęcia kampanii.

Oto z pewnością zasadnicza przyczyna, która spowodowała

wała, że wysiłek wreszcie podjęty, nie rozwinął się na dosyć szeroką skalę, i nie uwzględnił postępu techniki z dostateczną pomysłowością. Nie dostrzeżono, że chodziło raczej o reorganizację, niż o uzupełnianie. Postarzały personel pracował nadal według przestarzałych zasad tamtej wojny, dlatego że ten personel i te zasady ongiś doprowadziły do zwycięstwa. Przeoczono nowość i oryginalność uzbrojenia Niemiec, które miały tę wyższość, że rozpoczynając od niczego, przebudowały wszystko od podstaw w państwie zorganizowanym wyłącznie dla tego celu. Przymknęto oczy na przemiany strategiczne i taktyczne, logicznie wypływające z rozwoju nowoczesnego sprzętu wojennego. Tak, jak w 1867 roku wzmocniono starą armię, zamiast śmiało stworzyć armię nową.



Zrobiłem to prównanie w duchu poczucia ścisłej sprawiedliwości. Wykazuje ono do jakiego stopnia absolutne potępienie, na jakie zasłużyło Cesarstwo ze strony współczesnych, byłoby wobec Republiki aktem ignorancji, niesprawiedliwości, niewdzięczności. Ujawnia ono wprawdzie poważne błędy kierownictwa; gdy się rozważa już po fakcie z krytyczną surowością sprawy ludzkie, jest rzeczą normalną, że odkrywa się w nich błędy.

Nie ukrywam ich, nie tłumaczę, lecz zadaję sobie pytanie czy mogą one być przypisane instytucjom republikańskim, a szczególnie zasadom demokratycznym, na których te instytucje się opierają. Tak, jak ludzie z pokolenia Taine'a i Renan'a, powinniśmy zabrać się do badania tych spraw z całą powagą i bezinteresownością, bez chęci usprawiedliwiania lub potępienia. Już teraz wystąpię z wnioskiem ostatecznym: jeśli się rozważy błędy, popełnione w

prowadzeniu spraw ogólnych, spraw zagranicznych i spraw wojskowych, można je będzie z dostatecznym uzasadnieniem przypisać tej lub owej formie instytucji republikańskich we Francji, ale nie istotnym i powszechnym zasadom demokracji.

Pomińmy brak przenikliwości, deformację lub krótkowzroczność przewidywań: są to słabości powszechne, których uniknąć potrafią jedynie największe umysły, i to nie zawsze. Dany zespół przyczyn może logicznie wywołać jeden tylko skutek, a jednak myśl, kształtująca się w pewnej określonej chwili, może dostrzec cały snop możliwych rozbieżnych skutków. Przypadek gra tu wielką rolę. Człowiek przewidujący, to ten, któremu wypadki przyznały rację, czyli ten, który wyciągnął na loterii numer wygrywający.

Przyjrzyjmy się bliżej zarzutowi, który przez stałe powtarzanie stał się już truizmem — mam na myśli słabość ustroju, który prześladowcy charakteryzują jako brak autorytetu, ciągłości i stałości. Jest w tym jakby osad prawdy, który analiza powinna wydzielić z całą dokładnością.

Należy jednak przede wszystkim pamiętać, że zagadnienia autorytetu nie są równoznaczne z zagadnieniami suwerenności. Znane są autokracje, których autorytet był zmienny, chociaż absolutny, słaby, chociaż brutalny: Francja takiej autokracji podlegała po raz ostatni prawie siedemdziesiąt pięć lat temu. Znane są demokracje, gdzie autorytet władz jest silny; narody anglosaskie są tego przykładem. Autorytet nie zależy od tej czy innej formy konstytucyjnej. Ustrój reprezentacyjny, parlamentarny, gdzie władza, która należy do narodu jest w praktyce przekazana jego wybranym przedstawicielom, nie stoi w zasadniczej sprzeczności z mocnym, stałym i ciągłym autorytetem; wy-

starczy rzucić okiem na historię Anglii, aby się o tym przekonać.

Nie zapominajmy także, że pomiędzy autorytetem, niezbędnym każdemu rządowi, a słusznymi roszczeniami ludów i jednostek do wolności — bardzo trudno jest zaznaczyć i utrzymać dokładną miarę. Jest to najstarsze i najtrudniejsze zagadnienie polityki. Siła tak jak i słabość może przebrać miarę. Przerzucanie się z jednej przesady w drugą jest instynktowną reakcją narodów; dlatego to wszelka anarchia grozi w dalszym następstwie tyranią, ale właśnie, pokonując w sobie te brutalne bezmyślne odruchy, naród daje dowody swej dojrzałości.

Zresztą postęp cywilizacji, lub raczej konieczności życia w społeczeństwie, prowadzą powoli do zaniku pierwotnych form anarchii. Można się było spodziewać, że wymrą równocześnie i barbarzyńskie formy tyranii. Historia osłupieje widząc, że wznowiły się one za naszych czasów, ale ulec ich przeraźliwej sile przyciągania, pod pretekstem, że błędy i wahania demokracji mogły przynieść rozczarowanie, byłoby to doprawdy abdykacją rozumu i ludzkiej godności.

Pragnę wreszcie przypomnieć, że owa chwiejność rządu, o której się tyle mówi, nie jest bynajmniej szczególną właściwością republiki demokratycznej; że Republika przekroczyła dziś czterokrotnie czas trwania wszystkich innych ustrojów politycznych od półtora wieku, że była stałą od sześćdziesięciu lat, w tym znaczeniu, że jej prawne istnienie nie było zagrożone, ani nawet kwestionowane i nikt nie śmiał poważnie się jej przeciwstawić, jako przeciwnik polityczny; jest ona wreszcie trwałą dziś jeszcze, mimo wszystkich na nią ataków, bo jest tak głęboko zakorzenioną w zwyczaju i przywiązaniu narodu, że próżny będzie każdy wysiłek, by te uczucia wykorzenić.

A jeśli mnie teraz spytają dlaczego we Francji od pół-

tora wieku następowało po sobie tyle nietrwałych ustrojów politycznych, włączając w to wznowienie monarchii i cesarstwa, dlaczego waliły się jedne po drugich, dlaczego nawet sama Trzecia Republika musiała znosić wstrząsy, które obaliłyby ustrój mniej popularny, dam prostą odpowiedź, którą ograniczeni rządcy lub marni polemisci stale ignorują lub tracą z oczu: żaden rząd nie może być trwały w społeczeństwie i świecie, które są pozbawione trwałości.

Sto pięćdziesiąt lat temu Francja dokonała i stopniowo przekazała reszcie świata cywilizowanego najgłębszą przemianę, jakiej świat ten zaznał od czasu wprowadzenia chrześcijaństwa. Ileż to wieków potrzebowała Europa, przeistoczona przez rewolucję chrześcijańską w swych najistotniejszych zasadach, by odnaleźć spoistość i zaczątek trwałości? Czyż można się dziwić, że Francja potrzebowała kilku dziesiątek lat? Osiągnięcia wielkich przemian rewolucyjnych nigdy nie są natychmiastowe. Równowaga powraca powoli: w ten sposób natura sama narzuca rewolucjom zwłoki, których wymagałaby prawidłowa ewolucja. Aby wydobyć ze siebie nowe określenie cechy — społeczeństwa potrzebują przemiany rewolucyjnej, ale w sumie nie zyskują przez to na czasie.

Całkiem więc naturalnie dają się wytłumaczyć kolejne wstrząsy, które poczynawszy od Rewolucji francuskiej zakłócały nasz porządek polityczny. Nie oznaczają one bynajmniej, że rewolucje demokratyczne wprowadzają w organizm narodu zarazek szkodliwy; przeciwnie są to zaburzenia okresu dorastania, przez które odmłodzone ciało musiało przejść, aby osiągnąć pełną, zrównoważoną dojrzałość. A jeśli od wojny 1914 - 18 zaburzenia te przybrały znowu ostrą formę, nie należy szukać przyczyny w charakterze naszych instytucji, skoro to samo zjawisko występuje w całej Europie, a nawet na całym świecie.

Wyjaśnienia dostarcza sama wojna przez całkowicie nowe zagadnienia, które po sobie zostawiła w sprawach terytorialnych, ekonomicznych, finansowych i monetarnych, oraz w sprawach społecznych. Zagadnienia te nie były, być może, nowe w swej istocie, ale stały się nimi w skali, jaką przybrały. A otrzymały jedynie częściowe, niedostateczne, wyraźnie prowizoryczne rozwiązanie, gdy nowa wojna wybuchła.

ROZDZIAŁ III.

Nie chciałbym jednakowoż, aby te rozważania ogólne, jakkolwiek w moich oczach najzupełniej jasne, wyglądały na wykręcanie się od wniknięcia w sedno dyskusji. Uczciwie przyznaję, że ustrój rządowy Francji nosił w sobie organiczne składniki niestałości, braku ciągłości, niewydajności. Zgodzę się nawet, chociaż to sprawa do dyskusji, że wady te pogłębiły się w ciągu ostatnich dwudziestu lat międzywojennych.

Zbędnym jest nawracać do opisu klinicznego choroby, który wszędzie dziś można znaleźć, zresztą dowolnie przejawiany: pusta wrzawa mów, powolność procedury, wzajemne wkraczanie egzekutywy i prawodawstwa w sferę działania każdego z nich, walki klik i rywalizacje osób, niepewność i słabość rządów bez trwałości, pozbawionych wyobraźni odwagi, a co za tym idzie — skuteczności. Ponieważ maszyna źle funkcjonowała, wydajność jej była słaba w stosunku do zużytej energii; kierownica była trzymana niepewnie.

Sam to stwierdzałem i dawałem temu wyraz niespełna dwadzieścia pięć lat temu, podczas moich pierwszych kontaktów z gabinetami i parlamentem. Ale jedyną konsekwencją,

jaką stąd należało wyciągnąć, była ta, którą już wówczas formułowalem, że system rządów Francji, to znaczy stosowany w niej ustrój reprezentacyjny, czyli parlamentarny, powinien zostać gruntownie ulepszony. Przypuściwszy zaś, że ulepszyć się nie da, jedynym wnioskiem, który wolno dodać, jest ten, że ustrój parlamentarny lub reprezentacyjny nie stanowi formy rządu demokratycznego, najlepiej odpowiadającego społeczeństwu francuskiemu i że trzeba wobec tego rozejrzeć się za formą bardziej odpowiednią, ale nie wolno przeciągać wniosku i rozszerzać go na zasady istotne demokracji, jak suwerenność narodu, rządzenie narodem przez naród, kontrola nad władzami wykonawczymi, uznanie i gwarancja praw obywatelskich i praw osobistych człowieka.

Bo trzeba jasno sobie zdać sprawę i zawsze brać pod uwagę, że parlamentaryzm nie jest jedyną, wyłączną i konieczną formą demokracji. W tym leży jeden z zasadniczych punktów sporu: demokracja i parlamentaryzm, to nie są bynajmniej terminy równoznaczne. W żadnym z krajów Europy, o ile wiem, źródła historyczne parlamentaryzmu nie nawiązują do ruchu, czy do roszczeń demokratycznych; wszędzie jego pochodzenie jest arystokratyczne lub oligarchiczne; przybierał cechy lub nabierał wartości demokratycznej jedynie w miarę jak wynikały zeń dwa pojęcia całkowicie różne w istocie: odpowiedzialność ministrów przed zgromadzeniami wybranymi, oraz powszechność wyborów.

Tak więc parlamentaryzm to niekoniecznie demokracja. Z drugiej strony demokracja to niekoniecznie parlamentaryzm, skoro i bardzo wielka i bardzo mała republika demo-

kratyczna, Stany Zjednoczone i Konfederacja Helwecka *) tworzą od pierwszej chwili istnienia ustroje, które nie są parlamentaryzmem, bo suwerenność narodu nie jest tam ucieleśniona w zgromadzeniach parlamentarnych, ani też — że się tak wyrażę — wchłonięta przez nie.

Zaznaczam mimochodem, że obie konstytucje, amerykańska i szwajcarska, opierają się na podstawie federacyjnej, to znaczy daleko idącej decentralizacji administracyjnej, a szczególnie dekoncentracji władz. Usiłują one i potrafiły, zarówno w bardzo wielkim jak w bardzo małym kraju, utrzymać aktywność lokalnych ośrodków życia politycznego.

Nadużycia centralizacji i koncentracji, na które wszyscy często narzekają, nie są więc wcale wadami nieodłącznymi od demokracji i nasi zwolennicy regionalizmu powinni pamiętać, że jeśli rewolucja musiała utrzymać bezwzględnie zasady jedności narodowej przeciwko wojnie zewnętrznej i wojnie domowej — tak jak Lincoln i jego przyjaciele utrzymali ją w czasie Wojny Secesyjnej — to centralizacja administracyjna jest rozmyślnym i uporczywie przeprowadzonym dziełem monarchii z bożej łaski.

Mogę więc stanowczo powtórzyć, że nawet, jeśli przyznamy pewne racje ciągłym krytykom parlamentaryzmu, choćby najbardziej przesadnym i interesownym, nawet jeśli przyznamy, że jego funkcjonalne wady są nieuleczalne i nie do usunięcia żadnym wysiłkiem naprawy lub rekonstrukcji od podstaw, jedynym logicznym i uzasadnionym stanowiskiem jakie stąd wynika, jest szukanie, czy inna jakaś forma rządu demokratycznego nie byłaby lepiej przystosowana do charakteru społeczeństwa francuskiego; z pewnością.

*) *Szwajcaria.*

cią przykłady Ameryki i Szwajcarii byłyby nam pomocne w znalezieniu odpowiedniego kierunku.

Wprawdzie w ciągu XIX wieku teoretycy i praktycy polityczni, od Roger Collard'a i Guizot'a aż do Gambetty i Jaurés'a mniej więcej zgodnie uważali ustrój reprezentacyjny za typ najdoskonalszy „wolnych rządów”. Dla historyka, jak Guizot, ustrój parlamentarny, realizujący pierwszeństwo klas średnich, jest celem ostatecznym cywilizacji, na którą byłaby oddziaływała, poprzez całą historię, współczesną, siła atrakcyjna tego celu.

Ale można mieć poważne powody niezgadzenia się z tym powszechnym niemal zdaniem, opartym głównie na dobrych wynikach postępu parlamentaryzmu angielskiego; osobiście przyznam bez trudu, że we Francji nie osiągnięto podobnych wyników, żądając za to przyznania, że wnioskiem, który trzeba wysnuć z niepowodzenia, jest przemysłenie innego typu rządów demokratycznych.

W tym więc i jedynie w tym sensie należy przyjąć myśl zmiany konstytucyjnej. Oczywiście sam kraj o niej decydować powinien, to znaczy mieć możność całkowicie swobodnego wypowiedzenia się, zgody nieskrępowanej presją moralną lub materialną, decyzji wynikłej ze szczerzej i równouprawnionej dyskusji. Można kraj przekonywać — owszem — pod warunkiem, że wolność słowa będzie przyznana i teżom przeciwnym. Nie można jednak stosować przymusu; w szczególności nikt nie może rościć sobie prawa do przedstawiania siebie za kraj, który nie zrezygnował z władzy, sam jeden prawomocnie ją dzierży i nikomu jej nie powierzył.



Jeśli się chce rzucić nieco światła na ten spór, trzeba przede wszystkim rozważyć dlaczego ufnosć i nadzieje XIX

wieku zostały tak poważnie zawiedzione; jakiej przyczynie przypisać, że ustrój reprezentacyjny, który w Anglii udał się i rozwinął, nie dał równie dobrych wyników we Francji, szczególnie za Trzeciej Republiki?

Doświadczenie historyczne dość obfite dzisiaj, by móc z niego wyprowadzić prawo ogólne, dowodzi niezbicie, że należyte funkcjonowanie ustroju reprezentacyjnego lub parlamentarnego jest zależne od istnienia partii politycznych. Jeśli parlamentaryzm powiódł się w Anglii, a nie udał się we Francji to zasadniczo dlatego, że w Anglii istnieje stara i mocna organizacja partyjna, a we Francji, poza nielicznymi wyjątkami, które potwierdzają regułę, od półtora wieku nie udało się jej stworzyć.

Łatwo jest wyśmiewać lub oskarżać stronnictwa, szczególnie jeśli przyjmie się punkt widzenia dyktatur totalistycznych, którym sam wyraz „stronnictwo” przeciwstawia się jaskrawą sprzecznością. Tym niemniej jest rzeczą pewną, że słabość ministerialna, chwiejność i miękkość działalności rządowej, powolność i bezład obrad, jednym słowem, zawody i niedociągnięcia maszyny parlamentarnej we Francji są przede wszystkim wynikiem braku partii, dostatecznie jednolitych i zdyscyplinowanych.

Tak samo było za Restauracji, za Ludwika Filipa w okresie „porządku moralnego”, i w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ani dokoła Thiers’a, ani dokoła Gambetty czy Clemenceau nie utworzyły się partie rządowe mocne, zgrane i trwałe. Uporczywe wysiłki, dokonywane od początku obecnego stulecia — by z tendencji radykalnej osiągnąć uformowanie się prawdziwej partii politycznej — stworzyły jedynie pozory. Czyż potrzeba przypominać jej historię od wojny 1914 - 18, jej rozłamy, zmiany, jawne rywalizacje jej przywódców, stałą jej bezsilność w utrzymaniu prawdziwej jedności, dążeń i działalności. Próba założenia

wielkiej partii konserwatywnej, dokonana nazajutrz po wyborach w listopadzie 1919, tak samo zawiodła; po upływie kadencji nie pozostało po niej śladu. Tardieu w dziesięć lat później próbował ją ponowić i musiał prawie natychmiast próby zaniechać. Bezpośrednio przed wojną partia umiarkowana nie istniała. Różnorakie składniki centrum i prawicy potrafiły jednoczyć się jedynie w systematycznej opozycji. Kto był ich przywódcą: Paul Reynaud, Flandin, Laval czy Marin, których rozbieżność polityczna bardziej rzucała się w oczy, niż przywódców radykalnych?

Nie szukajmy gdzie indziej przyczyny bezskuteczności ustroju parlamentarnego w naszym kraju. Wrodzona nieumiejętność tworzenia zorganizowanych i poważnych partii, tłumaczy również antypatyczny, a często gorszący obraz bitew parlamentarnych we Francji, uporczywość współzawodnictw osobistych, niecierpliwy i często nieuczciwy wyścig o władzę. Walka polityczna nie jest sportem, tym niemniej tak jak wszelkie inne formy walki, deprawuje się i staje się odpychającą dla widzów, jeśli nie podlega pewnej ilości reguł, jeśli te reguły nie skłaniają do zachowania w walce minimum przyzwoitości i uczciwości.

Otóż jasnym jest, że niepoprawnościami i nieuczciwościami gry może zapobiec jedynie wpływ partii trwałych, a tym samym zainteresowanych w szanowaniu, gdy są w opozycji, kodeksu obyczajowego, z którego same korzystałyby będąc u władzy. Przy odrobinie zastanowienia, jasno można sobie zdać sprawę, że właśnie brak organizacji partyjnej we Francji, zdaje posła na łaskę wyborcy, co bardziej, niż wadliwe ustawodawstwo wyborcze, przyczyniło się do sprowadzenia posła do roli przedstawiciela lub administratora interesów lokalnych.

Lecz czy ten brak spoistości jest cechą ogólną tempera-

mentu francuskiego czy też szczególną właściwością charakteru współczesnej burżuazji francuskiej? Co wczoraj uniemożliwiało utworzenie partii godnej tej nazwy to nieznoszenie dyscypliny, skłonność do krytyki, kpiącej i oszczerczej, brak wiary w ideę, której się niby służy, brak zaufania, wdzięczności i życzliwości dla przywódcy, za którym się niby kroczy. Wahano się w uznaniu przywódcy, nawet lub właśnie dlatego, że imponował; nie godzono się szczerze na jego autorytet; nie umiano zachować mu wierności. Przeciętny członek parlamentu rzadko był posłem skromnym, źle znosił pozostawanie w szeregu na swoim miejscu; wyrwał się, chciał być ważny. Wpływ otoczenia rozwijał w nim szybko, jak dziedziczną chorobę, nie tyle indywidualizm, co personalizm; mieszaninę o rozmaitym nasileniu próżności, nieufności i ambicji.

Wolno uważać te przywary za nieodłączne od temperamentu francuskiego w tym znaczeniu, że można odnaleźć ich ślady we wszystkich okresach historii naszego narodu. Jednak każdy uczciwy obserwator będzie musiał przyznać, że partie robotnicze i organizacje proletariackie naszego kraju miały poczucie dyscypliny, co zresztą (poza komunistami) nie było przekreślaniem osobowości, ale podporządkowaniem się i dobrowolną ofiarą na rzecz dobra zbiorowego, na rzecz przekonań, na rzecz sprawy; partie te umiały być posłuszne i regule i przywódcy, szczyć się raczej wyższością talentu, kultury, charakteru towarzysza, niż zazdrościć mu ich. Wśród zmiennych kolei życia parlamentarnego, dawały zwykle przykład zwartości, dorównującej partiom anglosaskim.

Mam prawo uważać za fakt, że gdyby na terenie wszystkich pozostałych kierunków politycznych i społecznych — radykalizmu, liberalizmu prokapitalistycznego, demokracji chrześcijańskiej, konserwatyzmu o tendencjach wstecznych

— powstały partie podobne w strukturze i w sposobie funkcjonowania do partii socjalistycznej. to rząd parlamentarny byłby możliwy we Francji, tak jak w Anglii, a ideał teoretyków XIX wieku stałby się rzeczywistością.



Aby myśl moją dokładniej wyłożyć, przedstawię ją z innego punktu widzenia. Jeśli idzie o partie robotnicze, ryzyko rozstroju leży głównie w zastoju, w dreptaniu w miejscu, w banalności; ruch, posuwanie się naprzód, twórczość, utrzymują ją najpewniej w zwartym i zorganizowanym skupieniu. Z burżuazją dzieje się odwrotnie. Partie, względnie zarodki partii, które zdoła utworzyć, rozkładają się przez ruch, przez inowacje i zachowują względną wartość jedynie w oporze.

Odkąd ustrój parlamentarny funkcjonuje we Francji, widzę jedynie trzy przykłady rządów, których trwałość opierała się na jednolitych większościach, mających pozory silnych partii: Villele i ultrarojaliści za Restauracji, Guizot i ultra-konserwatyści za Ludwika Filipa, Jules Ferry i „oportuniści” za Trzeciej Republiki.

We wszystkich tych trzech wypadkach burżuazja u władzy (bo Villele i jego przyjaciele to raczej posiadacze, niż arystokracja) poczuła się zaniepokojona wzrostem wrogi jej sił. Zdyscyplinowana zwartość przyszła pod wpływem lęku i strach ją utrzymywał. Z tym samym uczuciem burżuazja oddała się z zamkniętymi oczami Drugiemu Cesarstwu, powierzając mu generalne pełnomocnictwo administracji i obrony. W żadnej z powyżej rozważanych sytuacji nie stworzył więzi pozytywny i postępowy program, nie utrwaliła jej zdolność rozwoju i twórczości: zachowawczość i opór, to jedynie hasła, które skupiają burżuazję francu-

ską. Zasada zjednoczenia, reguła partii są dla niej negatywnymi pojęciami porządku, są środkiem powstrzymania wszystkiego, co zagraża przywilejom prywatnym i publicznym; wspólny lęk jest jednym czynnikiem dyscypliny.

Tak więc alternatywa, przed którą stoją partie politycznej burżuazji francuskiej, to albo dzielić się i rozbijać, kiedy przypadkiem ryzykują akcję, albo zasklepić się w oporze czyli bezwładzie, tworząc dziwny anachronizm w społeczeństwie, które przetwarza się z zastraszającą szybkością i w świecie politycznym, który się zmienia w równie zawrotnym tempie. Nadchodzi szybko chwila, w której bezwładny opór ustępuje pod naporem zewnętrznym i wewnętrznym, i gmach, który się zdawał niewzruszony, wali się z trzaskiem pośród wstrząsów, o cechach niemal rewolucyjnych, tak, że w sumie okresy pozornej siły partii burżuazyjnych są epizodami nietrwałymi i bez znaczenia.

Historia rządów konserwatywnych we Francji w ostatnim dwudziestoleciu, to znaczy rządów „Bloku Narodowego” za Poincaré’go i Doumergue, za Millerand’a, Tardieu i Laval’a, nie wiele się różni od powyższego obrazu.

W naszym żargonie politycznym, który ulega modom niewybrednym, weszło w zwyczaj obecnie wyrażenie „łatwizna”; tym wyrażeniem chce się obniżyć wartość reformatorskiej pracy demokracji. Ale czymże jest „łatwizna”, jeśli nie tendencją zaradzania trudnościom rządu wątpliwymi wybiegami, wymagającymi niewiele wysiłku, mało poświęceń, jeśli nie unikaniem gruntownych ulepszeń, śmiałych powiązań, wielkich ustępstw, wymagających sięgania wzrokiem w dal, odważnej ciągłości, odwagi ryzykowania.

W sumie skłonność do „łatwizny” jest formą konserwatyzmu burżuazyjnego, odpowiada temu, co nazywano oporem za czasów Guizota, oportunistem za czasów Ferry’ego.

Formacja polityczna, która cofa się przed ryzykiem czynu, cofa się również, i to z tych samych powodów, przed użyciem młodzieży. Polityka bojaźliwa, małostkowa wierzy jedynie w doświadczenie, a doświadczenie ma w sobie zawsze coś starczego. Ustroje arystokratyczne wynosiły młodych na wielkie stanowiska, umożliwiając im wielkie czyny, a demokracja angielska umiała częściowo zachować te tradycje; rewolucje ludowe wydawały i pchały do czynu olbrzymi zapas młodych energii, organizacje ludowe nigdy nie bały się młodych przywódców

Ostrożność burżuazyjna natomiast nie ufa zuchwałości młodzieży, tak w życiu publicznym, jak prywatnym; nie chce jej pozwolić wyszumieć się we władzy; poza bardzo nielicznymi wyjątkami narzuca powolność awansów w hierarchii, z posuwaniem się w latach wiąże posuwanie się w godnościach.

Istnieje studium Balzac'a, mało czytane, znane jedynie z dziwnego tytułu, które wielki wizjoner napisał w niewiele lat po rewolucji lipcowej 1830 roku: przewidywał w nim rychły koniec monarchii burżuazyjnej i przypisywał go już wówczas podejrzliwemu usuwaniu młodzieży, która przecież utorowała jej drogę. Trzecia Republika nie więcej ufała młodym siłom i nie lepiej na tym wyszła.

Alle podobne skutki są zawsze wynikiem tych samych przyczyn. Wszystko od stu lat działa się we Francji tak, jakby burżuazja, jako ciało polityczne, traciła swe soki żywotne i zdolność twórczą; w wielkie dni 1789 roku z tych soków czerpała i nimi karmiła Francję, ale wydaje się, że je wyczerpała w zawierusze rewolucyjnej, a potem w walce przeciw odbudowanej monarchii; od tego czasu działalność jej znaczy tylko ślady dorywcze, które z czasem zacierają się zupełnie. To stanowi o jej losie. Klasa kierująca,

która umie utrzymać zwartość jedynie w bierności, której warunkiem trwania jest unikanie zmian, która nie umie zastosować się do biegu wypadków, ani użyć świeżych sił wzrastających pokoleń, jest skazana na zniknięcie w historii.



Doszliśmy zatem do stanowczego wniosku, że ataki na nasz ustrój parlamentarny nie naruszają zasad ogólnych demokracji. Mamy teraz prawo dodać wniosek następujący: przytoczone dowody złego funkcjonowania parlamentaryzmu francuskiego oznaczają jedynie, że burżuazja francuska straciła charakter klasy kierującej. Wniosek ten nabralby jeszcze większej siły, gdybyśmy zapuścili sondę głębiej, niż sięgają zjawiska czysto polityczne, aby za przykładem Renan'a, Taine'a i ich przyjaciół zanalizować stan moralny społeczeństwa.

Oczywiście, że Trzecia Republika ostatniego okresu międzywojennego daleka jest od obrazu końca Drugiego Cesarstwa lub niektórych okresów Ancien Regime'u. Nie cechowało jej wyuzdanie, orgie, ani gorączka spekulacji. Zarysowało się wprawdzie coś podobnego bezpośrednio po zwycięstwie 1918 roku, była to jednak tylko krótka chwila zwierzęcej reakcji. Ludzie skrępowani w ciągu długich miesięcy przymusu i cierpienia rozprężali nerwy, jak mogli, każdy na swój sposób. Wtedy istotnie zapanowała jakaś rozwiązłość, gorączka wydawania, rozrywek, przedsiębiorstw, wyłamywanie się spod wszelkich reguł, potrzeba nowości, granicząca z obłędem, potrzeba wolności, dochodząca do deprawacji; najlepiej może charakteryzuje ten moment zbiorowy szal tańca.

Lecz chwila ta nie trwała długo; po uspokojeniu nerwów

życie powróciło do normalnego trybu. Zresztą złudzenie dobrobytu, które dało zwycięstwo krajowi, rozwiało się szybko; częste i coraz groźniejsze kryzysy zmiotły ryzykowne przedsiębiorstwa jedno po drugim, osiągnęły nawet najstarszych i najpoważniejszych, i postawiły każde ognisko domowe wobec wzrastających trudności dnia codziennego.

Aby przedstawić okres międzywojenny, jako czas łatwej rozrywki, trzeba naprawdę przekręcać historię aż do śmieszności; w istocie był to dla większości Francuzów czas pracowitego wysiłku. Niemniej stronnicze jest podawanie tych dwudziestu kilku lat, jako przykładu korupcji politycznej.

Trzecia Republika była, jak Druga i Pierwsza, na ogół okresem uczciwym. Życie mężów stanu, nawet ich życie prywatne, było strzeżone przez surową i podejrzliwą opinię. Posłowie republikańscy byli po większej części ludźmi prawymi lub przynajmniej trzymali się normy ludzi prawych. „Skandale”, mimo iż wykorzystywane z hałasem dla interesów partyjnych, nie były ani częste, ani rozległe, a z chwilą ujawnienia wywoływały prawdziwe moralne rewolty, jak owa z 6-go lutego 1934, z której udało się uczynić powstanie.

Gdybyśmy jednak poszukali źródła tych skandali, odnaleźlibyśmy je w fakcie, że interesy prywatne zdobyły sobie różnymi sposobami stałych przedstawicieli w świecie parlamentarnym i gdybyśmy zrobili zestawienie serii podobnych skandali od stu lat, stwierdzilibyśmy, że konszachty polityki i interesów są jedną z oznak charakterystycznych kapitalizmu burżuazyjnego. Świat urzędniczy był dotknięty korupcją znacznie poważniej, niż polityczny: urzędnik francuski, słynący — i słusznie — z nienagannej, niemal agresywnej surowości cnót, w okresie międzywojennym zaraził się gorączką interesów. Ale pamiętajmy, że w przeciwieństwie do Austrii, Niemiec i Anglii, gdzie średnie i

wyższe kadry urzędników państwowych były w większej części arystokratyczne, we Francji były i są wyłącznie burżuazyjne.

Wprost haniebnym jest obraz wielkiej prasy francuskiej w ciągu tych ostatnich dwudziestu lat. Jest się zmuszonym przyznać uczciwie, że niemal powszechna jej sprzedajność, rezultat zarówno upadku moralnego, jak technicznego, była ogniskiem infekcji dla całego kraju; ale wielka prasa zależała wyłącznie od ośrodków wielkich interesów, to znaczy była burżuazyjna.

Co do stanu kultury, pracy naukowej, wychowania, przeciw któremu Renan i Taine po 1871 roku przede wszystkim kierowali ostrze swej krytyki, to stan ten tym razem był zadawalający na obu krańcowych odcinkach: z jednej strony szkolnictwo wyższe i badania naukowe, z drugiej szkolnictwo powszechne: Trzecia Republika wzniosła na tych dwóch odcinkach konstrukcję, wytrzymującą wszelką krytykę.

Oplakany natomiast był stan odcinka środkowego — szkolnictwa średniego i studiów, fałszywie zwanych wyższymi, jak prawo i medycyna, pojętych jako przygotowanie zawodowe. W tych dziedzinach nie tylko nie zaznaczył się żaden postęp, ale upadek pogłębił się; szkoły średnie, mimo iż opinia zwracała na nie szczególną uwagę, mimo iż ich klientela obu płci stale się rozszerzała, wypuszczały z swych murów produkty, o obniżającej się z roku na rok wartości.

Ale właśnie liceum i kolegium są we Francji domenami burżuazji; medycyna, prawo, funkcje urzędnicze, są to zawody prawie wyłącznie burżuazyjne. To, co nazywano w ubiegłym stuleciu „burżuazją oświeconą”, zanikło zupełnie. W naszych czasach żyje jedynie burżuazja niedokształcona. Nie stanowi już ona publiczności dla dzieł, których zrozu-

mienie wymaga pewnej sumy nabytej wiedzy. Pisma, które tak jak w ubiegłym stuleciu, uprawiałyby popularyzację na trochę wyższym poziomie, nie znalazłyby już czytelników; widzimy, jaki rodzaj miesięczników i tygodników ilustrowanych zajął ich miejsce. W jakimkolwiek więc kierunku propawdzimy obserwację kliniczną — doprowadza ona zawsze do tego samego wyniku. We wszystkim, co dotyczy burżuazji, we wszystkich dziedzinach jej życia i potęgi, ujawnia się rozpad, uwiąd, obumieranie.

Jeśli doznajemy dziś wrażenia, które streszcza wszystkie inne — a mianowicie ogólnego załabnięcia społeczeństwa francuskiego — głównym powodem jest fakt, iż społeczeństwo to miało szkielet burżuazyjny i szkielet ten nie wytrzymał, załamał się.

ROZDZIAŁ IV.

Wbrew wszelkim pozorom nie ulega wątpliwości, że burżuazja kieruje losem Francji od półtora wieku. Wyjątki, jak na przykład okres pomiędzy dwiema wojnami ostatnimi, są złudne. Ugrupowanie sił raczej, niż partyj, znane pod nazwą Frontu Ludowego, było jedynie koalicją obronną, na którą instynkt samozachowawczy zdobył się spontanicznie po 6 lutego 1934*), by ratować zasady demokratyczne. Partia socjalistyczna została powołana do rządu, ale zdawała sobie doskonale sprawę, że będzie zmuszona sprawować władzę w ramach społeczeństwa burżuazyjnego, i nawet z tego powodu uchylała się od jej objęcia, jak długo okoliczności na to pozwalały.

Nawet kiedy w Izbie zasiadała większość ludowa, burżuazja miała środki oporu, które chwilowo hamowane lekkiem, odzyskiwały dawną skuteczność, skoro tylko mijał strach. W rękach jej były lokalne ciała samorządowe, kadry urzędnicze, prasa, finanse, wielki przemysł i handel,

*) *Krwawe rozruchy pod gmachem Izby Deputowanych w Paryżu, wywołane przez ugrupowania skrajnej prawicy (uwaga tłumacza).*

a w szczególności senat, wyposażony w takie uprawnienia, jakich Druga Izba nie posiadała nigdy i nigdzie. Twórcy konstytucji 1875 roku w system republikański rozmyślnie wbudowali ten niezdobyty szaniec konserwatyzmu.

Istotnie, ilekroć woła kraju, wyrażana powszechnym głosowaniem, przeforsowała utworzenie rządu o tendencjach ludowych i czynnie reformatorskich, burżuazja kierownicza czym prędzej go eliminowała, jako ciało obce. Burżuazja dzierżyła władzę, nie godziła się na rezygnację z niej, ani na dzielenie się nią. Zachowała ją w całości. W przeddzień wojny 1939 roku trzymała jeszcze całkowicie w rękach ster maszyny państwowej, ale nie umiała już nią kierować.

Nie sporządzam tu w imieniu jednej klasy doktrynalnego aktu oskarżenia przeciw innej klasie. Prąd dwukierunkowy, który doprowadził do tego braku przystosowania, do nieumiejętności znalezienia wspólnego mianownika między społeczeństwem, a klasą kierującą był może do uniknięcia. Przyznaję chętnie, że w innych częściach świata, nawet, w innych krajach Europy, taki stan rzeczy nie powstał.

Al'e tak właśnie wygląda rzeczywistość francuska. Aby się o tym przekonać, wystarczy rozejrzeć się naokoło lub przypomnieć sobie bez uprzedzeń wydarzenia ostatnich lat. Czy nie rzuca się w oczy, że w ciągu tych dziesięciu lat burżuazja nie umiała znaleźć w sobie dostatecznej energii, twórczej fantazji, zdolności odnawiania się i przebudowy, by opanować katastrofę kryzysu ekonomicznego; że nie potrafiła zdobyć się na nic więcej, jak zwracać się do państwa, wbrew własnym zasadom, z błaganiami o pomoc; że gdy jej nie ratowano opuszczała rozpaczliwie ręce, nie próbując nawet walczyć? Czy nie rzuca się w oczy, że na wszystkich polach produkcji — w przemyśle, handlu, rol-

nictwie, bankowości — siłą bezwładu trwała w przestarzałych metodach, nie umiejąc nawet zachować dla Francji prestiżu „jakości”, skoro już nie dało się uniknąć, że narody potężniejsze prześcignęły ją „ilością”.

Na wszystkich polach, gdzie inicjatywa i pomysłowość zapewniły Francji pierwsze miejsce przy starcie, dała się ona później dogonić i prześcignąć.

Burżuazja dopuściła, by klasa robotnicza popadła w nędzę, nie zrozumiała, że ciągła ewolucja stosunku kierowników przedsiębiorstw do robotników leży w jej własnym interesie, a ponadto jest kwestią żywotnej wagi dla całego narodu. W r. 1936, kiedy dla uniknięcia krwawej rewolucji trzeba było natychmiastowo położyć kres zacofaniu we wszystkich dziedzinach i kiedy rząd Frontu Ludowego usiłował ją skłonić do zgodnej współpracy w przeprowadzeniu koniecznych reform, uległa jedynie ze strachu i wstydzając się własnego przerażenia, czym prędzej pogrzyżała się w mściwym obmyślaniu sposobów cofnięcia ich siłą lub podstępem.

Hitler stanowił dla świata coraz wyraźniejszą groźbę. Koniecznym było przezbroid Francję w przyśpieszonym tempie. Kiedyś wyjdzie na jaw, w jakim stanie rozkładu pozostawiły aparat wojskowy rządy czysto burżuazyjne, następujące po sobie bez przerwy od 1904 roku; jak dalece — kiedy rząd Frontu Ludowego, wobec naglącej potrzeby odnowy szrętu wojennego, zażądał od sfer kierowniczych przemysłu francuskiego, czyli od burżuazji, wzmożonego wysiłku — okazały się one niezdolne sprostać zadaniu.

Znam zarzuty stawiane organizacjom robotniczym i wyrażę bez ogródek moje zdanie w tej sprawie, jak we wszystkich innych. Lecz przyjąwszy nawet złą wolę niektórych ich przywódców, nie ulega wątpliwości, że zachowanie się przemysłowców dostarczało wody na młyn ich ar-

gumentacji: bo jest faktem niezbitym, że groźna sytuacja wewnętrzna stawiała się w rękach syndykatów pracodawców środkiem nieszczenia dzieła reformy; jest faktem niezbitym, że ich brak gorliwości lub energii stawiał tamę koniecznej reorganizacji produkcji i pracy.

Mimo, że program zbrojeniowy sztabu głównego był już sam przez się za mało pomysłowy i śmiały — wprowadzenie go w życie wykazało natychmiast rzucające się w oczy skąpstwo w instalacjach, w niedostatecznym lub przestarzałym sprzęcie fabryk, w braku specjalistów, których przecież szkolnictwo zawodowe lub właściwie postawione szkolenie w samych fabrykach, powinno było naszemu krajowi dostarczyć w obfitości.

I znowu państwo, wzywane na pomoc, jak podczas kryzysu, musiało wykladać miliardy za miliardami na wznoszenie nowych budynków i sprowadzanie z zagranicy nowoczesnych maszyn — a w tym olbrzymim i śpiesznym wysiłku odbudowy przemysł francuski okazał się znowu marnym współpracownikiem, pozbawionym szerokiego spojrzenia, szczytnych zamierzeń, przedsiębiorczości, odwagi ryzyka, bezinteresowności. Małostkowa rachunkowość, oparta na krótkowzrocznym zestawianiu bezpośrednich zysków i strat obniżała politykę przemysłową do poziomu sklepikarstwa; w przeciwieństwie do lat 1914 - 18 rzucała się w oczy miernota ogółu właścicieli i dyrektorów przedsiębiorstw. Nie wysuwała się tym razem elita „kapitanów przemysłu” równie wybitna charakterem jak zdolnościami technicznymi, przedsiębiorcza, interesująca się przewyciężaniem trudności bardziej, niż bezpośrednim zyskiem; ten fakt najjaśniej wykazuje, jak od jednej wojny do drugiej postąpił uwiad starczy kadr burżuazji.

Próżnym byłoby tłumaczyć, że tę degenerację spowodowała wzrastająca zawziętość, z jaką klasa robotnicza

zaznaczała swoje istnienie i swoje żądania w przemyśle. Autorytet pracodawców był nie mniej stawiany pod znakiem zapytania i zwalczany także przed rokiem 1914.

Wzmoczenie siły mas robotniczych było faktem, z którego istnieniem należało się liczyć. Czymże jest zarząd przedsiębiorstwa, jeśli nie umie ani z tą siłą walczyć, ani paktować, ani opanować jej, ani też oddać jej tego, co jej się należy, jeśli autorytet jego opiera się wyłącznie na przepisach prawa i na policji? W epoce naszej istnieje dla pracodawcy jeden już tylko sposób zachowania autorytetu: istotna wyższość, wywołująca samorzutne uznanie, tworzenie wokoło siebie życia i dobrobytu; przedsiębiorstwa prywatne we Francji okazały się do tego niezdolne.

Przyjrzyjmy się zresztą z nieco szerszej perspektywy stanowisku, zajmowanemu w ciągu ostatniego dwudziestolecia przez sfery kierownicze burżuazji wobec zasadniczego zagadnienia wojny i pokoju. Burżuazja francuska naszych czasów jest jednocześnie i pacyfistyczna i pełna szowinizmu; to jest pragnie pokoju, nie powiedziałbym, że z honorem — trudno byłoby dziś użyć tego wyrażenia — lecz z pychą. Nie potrafiła pogodzić się z faktem wojny, gdy wojna stała się nieunikniona.

„Mrzonki” wilsonowskie, Liga Narodów, pomoc wzajemna, bezpieczeństwo zbiorowe, rozbrojenie, Federacja Europejska — znalazły w tym środowisku przyjęcie sceptyczne i pogardliwe, wynikające jednocześnie z zasad przestarzałej mądrości i z upojenia świeżym zwycięstwem. Francja miała wówczas siłę zorganizować pokój, podyktować pokój Europie; burżuazja francuska wzgardziła tą misją i nagle stanęła twarzą w twarz wobec niebezpieczeństwa, któremu nie chciała zapobiec.

W Niemczech utworzyła się na nowo dyktatura wojskowa, groźniejsza od tej, którą alianci dopiero co złamali,

bo oparta nie tylko na sile materialnej i intelektualnych metodach, ale odwołująca się do instynktów i dzikiego fanatyzmu zwierzęcia w człowieku. Hitler zdobył władzę, rozpalając wolę odwetu narodowego; stawszy się wszechwładnym, zmierzał do podboju świata. Niepodległość całej Europy, a szczególnie Francji, była zagrożona. Nadeszła chwila, kiedy nieustraszone przyjęcie wojny stało się jedyną szansą zagrođeniu mu drogi, jedynym sposobem zachowania całości i niepodległości ojczyzny. Burżuazja, która nie potrafiła przejąć się wielką nadzieją, nie potrafiła również spełnić wielkiego obowiązku — zdobyć się na ogarnięcie wzrokiem sytuacji i na mężną decyzję.

Miałbym prawo przeciwstawić jej zachowaniu, postępowanie ludzi dzisiaj przez nią skałowanych. I oni się zmienili, ale w odwrotnym kierunku; pracowali nad pokojem z całą wiarą, dopóki istniała jeszcze w Europie najmniejsza szansa zorganizowania go, lecz z chwilą, gdy Hitler odkrył swoje plany podboju i panowania, usiłowali przepoić wolną duszę Francji energią oporu.

Można by jeszcze zrozumieć ostrożne wahanie się burżuazji wobec koncepcji tak nowych, jak myśli Wilsona lub Brianda, wobec perspektywy demokracji międzynarodowej. Ale jak sobie wytłumaczyć brak jednomyślności narodu wobec niebezpieczeństwa, wobec konieczności odparcia go, w obliczu poświęceń, których wymagała własna obrona? Dlaczego jedność narodowa, która w Anglii zespoliła w tym samym porywie wszystkie czynniki społeczeństwa, nie ogarnęła samorzutnie Francji nazajutrz po Anschlussie, po wzięciu Pragi, w przededniu i nazajutrz po Monachium? Do burżuazji, jako do klasy kierującej, należało wzięcie w ręce i pokierowanie tym ruchem; nie tylko go nie poprowadziła, ale wolno stwierdzić, że mu się oparła. Przywiązanie do tego, co uważała za swój interes, jako klasa posia-

dająca, zacięte i bojaźliwe zarazem pragnienie osłaniania swych przywilejów i dóbr, zdusiły w niej poczucie patriotyzmu.

Nie chciała wojny w żadnym wypadku i nie bała się Hitlera, bo cała jej zdolność strachu koncentrowała się na Froncie Ludowym a szczególnie w koło komunizmu. Przywileje i dobra wydawały się jej o wiele mniej zagrożone przez narodowy socjalizm niż przez komunizm; może też ufała skrycie, że pięść Hitlera na długo uśmierzy bunty robotnicze. Egoizm klasy posiadającej kazał jej dążyć wszelkimi drogami i za każdą cenę do porozumienia z Hitlerem.

Czy znane jest ohydne, ale charakterystyczne powiedzenie redaktora jednego z wielkich pism burżuazyjnych, podczas kryzysu monachijskiego? Gdy któryś z reporterów referował mu, że na dworcach paryskich rezerwiści, zmobilizowani na wszelki wypadek, wyjeżdżali bez wybuchów entuzjazmu, ale z niezłomnym postanowieniem, redaktor wykrzyknął, uderzając pięścią w stół: „Ach, jak to widać, że ci ludzie nie mają nic do stracenia”.

Tak więc burżuazja francuska pozwoliła narodowi dać się zaskoczyć przez wojnę, której przyczyn ni sensu nie umiała mu uzmysłwić. A potem prowadziła ją połowicznie, bez zapału i wiary. Historia określi jej rolę w klęsce wojskowej, ale już dziś można przypisać słabości jej woli, że od pierwszego uderzenia przegrana wojskowa zamieniła się w klęskę narodową.



Dziś widzi się już wyraźnie istotną przyczynę rozpacz, która owładnęła prawie całym narodem w tych dniach przekłetych. Burżuazja sprawowała najwyższą władzę w imie-

niu narodu, bo władzę tę jej w gruncie rzeczy powierzył ustrój parlamentarny z 1875 roku. A oto straszny dramat odsłaniał zupełny jej upadek: okazała się nie tylko niezdolna, ale niegodna władzy; nieudolność ta i niegodność są nie tylko najgłębszą przyczyną, ale i uzasadnieniem klęski.

A ostatnim jej błędem nie do wybaczenia było, że własną swą ruinę uznała za ruinę powszechną; ogłosiła i przekonała przerażoną opinię, że z chwilą, gdy ona się zawaliła, nic się nie ostało.

Bazaine, oskarżony o kapitulację Metz, zawołał przed sądem wojennym: „Cóż mogłem zrobić? Nic innego nie pozostawało”, a przewodniczący, książę d’Aumale odpowiedział mu: „Pozostawała Francja”. Burżuazja kierująca zapomniała, że Francja pozostała, a Francja sama, porwana wichrem paniki i rozpaczcy zapomniała, że nie przestała istnieć. Ujrzała bezdenną przepaść, otwierającą się pod nogami i straciła głowę w zawrotnym przerażeniu.

Widzieliśmy, jak to wyglądało; naród, którego ciało i dusza były udręczone, któremu grunt się spod nóg usunął, nie widział już żadnej mocnej gałęzi, której by mógł się uchwycić.

W 1870 roku, republika wyszła gotowa i uzbrojona z cesarskiej katastrofy i natychmiast uratowała Francję przypomnieniem wielkich rewolucyjnych idei: świętej miłości ojczyzny i wielkości. Ale waląca się w gruzy burżuazja zdławiła pod swoimi ruinami ten płomień zawsze żywy; i poza mętными ludźmi, ukrywającymi się za wielkim nazwiskiem, nikt nie wystąpił, by zająć puste miejsce, wypełnić próżnię.

To wrażenie nagłe rozwartej przepaści, nicości, nie do zniesienia dla narodów, tak samo jak dla ludzi, jest dziś jeszcze, w rok po zawieszeniu broni, elementem górującym w rozpaczcy Francji. Wiele rzeczy i wielu ludzi runęło, wiele

dóbr przepadło, rozpacz i nędza przytłoczyły wiele istnień. Ale bywało tak często w zmiennych kolejach historii i naród nie upadał pod brzemieniem strat, gdy wiedział, że będzie mógł je naprawić. Dzisiaj Francja wie lub wyobraża sobie, że straciła wszystkie czynniki konieczne dla kierowania życiem zbiorowym i nie widzi możliwości naprawienia tej straty. Jest do podjęcia olbrzymi spadek, ale nie wiadać spadkobierców.

Takim jest do chwili zawieszenia broni wewnętrzny dramat Francji, wpisany, jeśli można powiedzieć w dramat światowy. Bo jeśli Francja na próżno zadaje sobie pytanie, czym sama będzie jutro, to pyta jeszcze z większym niepokojem, czym będzie Europa i jej rola w Europie. Nie wie, jakie będą jej granice, jej los, nie wie nawet, czy ostoi się, jako niepodległy naród.

To doniosłe zjawisko, zniknięcie burżuazji jako klasy kierującej nie zostało jeszcze zgłębione we wszystkich swych skutkach. Przedsięwzięcie, znane pod nazwą nowego reżimu czy „rewolucji narodowej”, sprowadza się właściwie, jeśli je rozważyć bezstronnie, do najwyższego wysiłku ożywienia lub wskrzeszenia trupa przez transfuzję „młodej krwi”. Ta młoda krew ma być oczywiście użyczona przez ustrój, który zwyciężył Francję, przez ideologię narodowego socjalizmu, uważanego za „powszechnego dawcę krwi”.

Ale czy hitlerowska krew przyjmie się w ciele burżuazji? Wprawdzie dyktatorzy totalistyczni zapożyczyli od burżuazji część personelu kierowniczego; jeśli chodzi o pochodzenie, kadry ich rekrutują się po większej części raczej z burżuazji, niż z proletariatu, chociaż są to elementy sproletaryzowane, zdeklasowane przez szereg kryzysów ekonomicznych. Prawdą jest również pozorny paradoks, że burżuazja kierująca, wyraz polityczny kapitalizmu współczesnego, zawsze prawie zawierała przymierze z „narodowymi socja-

lizmami'', mimo iż się podawały za burzycieli doktryn kapitalistycznych.

We Włoszech burżuazja wymyśliła i wznieciła faszyzm, zanim mu przekazała władzę; we Francji szczerze czy nie-szczerze pochwała „rewolucję narodową”. Gdy się jej mówi o ustroju bezklasowym, o zniesieniu pracy najemnej lub proletariatu, o pewnej unifikacji społecznej i zawodowej pod władzą zbiorową — jest zachwycona. Bo wie dobrze, że wprowadzenie tych socjalistycznych zasad w życie, w praktyce zacznie się od zniszczenia organizacji i instytucji robotniczych, od zakazania lub poddania pod kuratelę związków zawodowych, od zniweczenia wszystkich praw, swobód i zwyczajów, z których pracujący czerpali broń w stuletniej już walce z kapitałem.

Cóż obchodzi burżuazję, że „narodowi socjaliści” lub „narodowa rewolucja” swą retorykę kieruje przeciw kapitałowi, nie wyrządzając mu zresztą większej szkody, byleby zgnieść jedyne groźnego przeciwnika? Liczy ona na to, że po uwolnieniu jej od robotniczego socjalizmu przez „narodowy socjalizm” i jego rozliczne pochodne — historia z kolei zgniecie „narodowy socjalizm”. Wtedy pozostanie na placu ona sama, wszechwładna, wzmocniona ożywczym kontaktem. Wraz z nienaruszonym przywilejem ekonomicznym odzyska wówczas władzę polityczną, od której chwilowo ją usunięto.

Ale czy przyszłość urzeczywistni te egoistyczne i naiwne obliczenia? Żaden dokładny obserwator w to nie uwierzy. „Narodowi socjaliści” i „narodowe rewolucje” mogą być w zмовie z burżuazją tylko przejściowo. Mogą prowizorycznie chronić strukturę społeczną, której ona jest wyrazem; nie mniej zmuszone są głosić swe antykapitalistyczne hasła, co równa się antyburżuazyjności. Polityczni alianci burżuazji wprowadzili jednak obiegowe słownictwo jej przeciwni-

ków klasowych; zasadnicze tematy polemiki, a nawet doktryny socjalistycznej, należą do ich arsenału. Sztuczki dążące do skierowania ostrza ataków przeciw plutokracji anglosaskiej żydostwu lub masonerii, nie zmieniają biegu wydarzeń. Kapitalizm jest ugodzony, choćby nawet świadomie w niego nie celowano. Szaleństwem jest wyobrażać sobie że ustroje totalitarne, które doszczętnie zmiecie konieczność dziejowa, pozostawią po sobie burżuazję odświeżoną i wzmocnioną. Pakt, zawarty z „narodowo-socjalistycznym” diabłem, nie odmłodzi jej, jak Fausta. Wyjdzie z szatańskiego przymierza jeszcze bardziej zdyskredytowana, niż dzisiaj, bardziej podejrzana i osłabiona

Rozumowałem zresztą dotąd, przyjmując założenie, że krew „narodowo-socjalistyczna” jest rzeczywiście siłą żywotną. Ale w istocie twierdzenie to jest tylko samozwańczą przechwałką, przeciw której rozum burzy się i protestuje. „Narodowy socjalizm” nie odmładza ludzkości; nawraca ją ku dzikim jej początkom.

Mniej lub więcej szczerzy jego apologeti powtarzają nam, że „tworzy” on ludzi. Cesarstwo napoleońskie także stwarzało ludzi; bolszewizm w naszych czasach stwarza ludzi. Ale czyż trzeba skazywać ludzkość na powrót do barbarzyństwa, by chronić ją od zgrzybiałości? Czy nie ma w niej innej siły, niż brutalność, innej energii, niż pierwotna dzikość? Któż by się pogodził z tak uwłaczającą człowieczeństwu opinią?

Zasadniczy problem cywilizacji, istniejący od chwili, gdy ludzkość uświadomiła sobie własne człowieczeństwo — to problem zastępowania zwierzęcej energii przez siły zdyscyplinowane, zgrane, uduchowione, to problem przemiany dzikich i bałwochwalczych fanatyzmów w rozumowe pewniki, w przekonania oparte na wymaganiach osobistego sumienia. Postęp ludzki polega na zachowaniu, a nawet

rozwijaniu energii życiowej, lecz przez zastosowanie do celów zaspakajających coraz pełniej nakazy rozumu i sumienia a więc do ogólnie ludzkich ideałów, których imię, wolność, braterstwo, sprawiedliwość. Czy się mówi o cywilizacji chrześcijańskiej, czy o humanizmie grecko - rzymskim, czy też o „materializmie historycznym” — zawsze ma się na myśli tę samą ewolucję, która jest przeznaczeniem ludzkości.

„Narodowy socjalizm” usiłuje odwrócić kierunek prądu; niszczy wszystkie osiągnięcia postępu ludzkiego, przeczy i urąga wszystkim ideowym zasadom, które były jego natchnieniem. Nie jest wodą życiodajną, lecz śmiertelnym jadem; może zabijać żyjących, lecz nie ma siły wskrzeszenia trupów.

Burżuazja francuska przyklaskuje dziś hasłom propagandowym, które wzięte dosłownie, oznaczałyby śmierć kapitalizmu. Ach, gdybyż ten akces z wyrachowania mógł być wspaniałomyślną ofiarą! Gdybyż naprawdę postanowiła poświęcić sprawie odnowienia narodowego przywileje, zawarte w systemie kapitalistycznym własności! Gdybyż, w zamian za swą darowiznę, zastrzegła sobie zachowanie i rozwój zasad wolności politycznych, obywatelskich, osobistych, które od 1798 roku są jej dewizą i racją bytu!

Tak, wówczas wzmocniłaby się i ożywiła nie dawka krwi „narodowo-socjalistycznej”, ale skąpaniem w ufności, w zgodzie, w humanizmie francuskim. Poczuliaby się ogarnięta i pobudzona prądem twórczego entuzjazmu, podobnym temu, jakiego zaznała Francja rewolucyjna w noc z 4 sierpnia*) lub w dzień Federacji. Na takie wezwanie stanąłby cały lud pracujący; otrzymałby jednocześnie sprawiedliwość i

*) 4 sierpnia 1789 r., szlachta francuska zrzekła się swych feudalnych przywilejów (uwaga tłumacza).

wolność, socjalizm i demokrację, ujrzałby spełnienie „sławnego i wypróbowanego” hasła socjalnych demokratów, a w gruncie rzeczy Marxa i Jaurés’a: Socjalnej demokracji, wreszcie urzeczywistnionej, czy znajdującej się na drodze do istotnej realizacji, dałby jako tło i obramowanie — jedność narodową. przekonany zresztą, że wspólne potrzeby pracy i produkcji, jak też najżywotniejsze interesy pokoju, spoją coraz ściślej wszystkie narody w Międzynarodowym Porządku.

Piękne to marzenie; zależało jedynie od burżuazji kierującej, aby stało się rzeczywistością. Jeśli drzemie w niej jeszcze potencjał życia, niechaj da przykład poświęcenia, wtedy odrodzi się z własnych popiołów, jak legendarny ptak z bajki.

Lecz nie uczyni tego: jest jeszcze mniej zdolna, niż arystokracja w 1789 roku do wyrzeczenia się swych przywilejów, chociaż przestała wierzyć w ich legalność. By potrafiła złożyć ofiarę ze swych bezpośrednich interesów, potrzeba by jej przenikliwości, odwagi, ducha poświęcenia — a tego jej właśnie brak; trzeba by, aby na skutek klęski narodowej i cierpienia ojczyzny już się była dokonała w głębi jej zbiorowego sumienia ta rewolucja moralna, której żadnych objawów, niestety, dotychczas nie widać.



Rewolucja moralna — używam świadomie tych słów, określają one istotne ognisko choroby, na którą w oczach naszych umiera burżuazja francuska. Organem, który przeżarła choroba, zanim przerzuciła się na cały organizm, była właśnie moralność. Możliwyby dokładniej zbadać jej historię, śledzić jej przebieg na przestrzeni półtora wieku, opierając się o fakty i teksty — wszystkie prowadziłyby ku

tej samej konkluzji. Tu właśnie były źródła zła, stąd wyszło wewnętrzne zakażenie.

Niewątpliwie, burżuazja francuska posiadała wielkie cnoty. Była rozważna i prawa, cierpliwa i ostrożna, skromna i przyzwoita, oszczędna i rozsądna. Była idealnie przystosowana do warunków dawnego życia; w wąskich ramach rodziny, rzemiosła, społeczeństwa miejskiego lub wiejskiego, rozkwitła, wzrosła, wzbogaciła się. Ale nie była stworzona do życia w epoce wielkiego, coraz intensywniejszego kapitalizmu, nagromadzenia i nadprodukcji dóbr. Ustrój, który jej odpowiadał, to stopniowy, umiarkowany rozwój rodzącego się kapitalizmu, gospodarowanie majątkiem, stopniowo uskładanym oszczędnie z niewielkich zysków, zaokrąglanie dochodów z przedsiębiorstwa lub ziemi, prawie niedostrzegalne zmiany warunków.

W takiej atmosferze burżuazja francuska znajdowała właściwe środowiska bezpieczeństwa i rozwoju, lecz nie była stworzona do ciągłych wstrząsów, do nagłych zmian koniunktury, w ciągu wielkich kryzysów gospodarczych. W tyglu, w którym się przetapiały warunki życia i fortuny, została zaatakowana i przeżarta przez zbyt ostre kwasy.

Spójrzmy dookoła. Dwóch ról burżuazja francuska nie może znieść bez wypaczenia się: roli « nowobogacza » i roli « nowobiedaka ». Utraciła swoje pradowne cnoty, które w nowych warunkach wyszły z obiegu i zdawały się trącić myszką. Nieugięte formy jej dawnej prawości zatarły się w zetknięciu z nowoczesnymi metodami prowadzenia interesów.

Za czasów Cezarego Birotteau, ojca Goriot, a nawet pana Poirier, było rzeczą naturalną, że bankrut strzelał sobie w łeb. Poczucie honoru wprowadzić mieściło się tylko w podpisie kupieckim, ale przecież było gdzieś poczucie honoru. Pod ciosami wielkich kryzysów kapitalistycznych, które od

blisko półtora wieku następują po sobie w rytmie mniej więcej regularnym, lecz z wzrastającą intensywnością, honor burżuazji francuskiej się rozpadł, godność się załamała. Utraciła energię i siłę twórczą inteligencji, które zawsze w pewnej mierze wynikają z poczucia honoru, godności, zadowolonego sumienia. Wyniszczenie cnót prywatnych doprowadziło ją do zaniku cnoty społecznej.

Dlaczego burżuazja we Francji wykazała niezdolność do przystosowania się, która ją gubi, podczas gdy gdzie indziej, np. w krajach anglosaskich, umiała pogodzić moralność z postępem ekonomicznym? Różnica ta polega, być może, na różnicach temperamentu narodowego, a niewątpliwie także i na roli, jaką odgrywa czynnik religijny w wychowaniu i kształtowaniu burżuazji anglosaskiej

W każdym razie stoimy wobec faktu: upadek burżuzji francuskiej zaznaczał się coraz wyraźniej, w miarę jak zarysowywały się i wyrastały nowe zagadnienia natury wewnętrznej i międzynarodowej, jednym słowem, jak zaznaczały się nieuniknione następstwa nowej fazy ekonomii światowej. Po upadku cesarstwa, po bohaterским porywie, związanym na zawsze z nazwiskiem Gambetty, po ważkim rachunku sumienia, o którym świadczą nazwiska Renan'a i Taine'a, po pracowitych poważnych wysiłkach, które doprowadziły do przegłosowania i wprowadzenia konstytucji 1875 roku, można by było przypuszczać, że kuracja przywróci choremu zdrowie, że przynajmniej postępy choroby zostaną wstrzymane. Ale w dziesięć lat później — szaleństwo « boulangisme'u »; w piętnaście — skandal panamski! Recydywa była nieunikniona.

Na to, by burżuazja francuska mogła odzyskać zdolność kierowania polityką, musiałaby odzyskać środowisko odpowiednie do jej temperamentu, a to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby ekonomia światowa została cofnięta o

sto lat lub więcej. Przedsięwzięcie to, które siłą wewnętrżnej logiki systemu zdaje się przyciągać « rewolucję narodową » — nie powiodło się nawet dyktaturom totalitarnym.

« Narodowy socjalizm » i faszyzm mogły na pewien czas przekreślić wielkie duchowe zasady, które kierowały ludzkością od wieków, lecz nie potrafią unicestwić i wymazać z pamięci odkryć naukowych i technicznych, które odnowiły świat materialny. Mogły cofnąć miliony ludzi do stanu dzikiej brutalności; nie potrafią cofnąć produkcji i ekonomii do stadium warsztatu rękodzielczego, do półka, uprawianego przez rodzinę, do ręcznego narzędzia i do groszowego ciułania oszczędności.



Mówię tu o burżuazji jedynie jako o klasie rządzącej, jako o wyrazie politycznym współczesnego kapitalizmu. Nie będę udawał, że nie wiem, iż wśród niej w ciągu ostatnich dwóch lat, wiele jednostek dało bezcenny przykład cnót obywatelskich i patriotyzmu. Wojna i klęska, jak wszystkie wielkie kryzysy zbiorowe, były próbą charakteru, a pośród ludzi, którzy wyszli z tej selekcji pełnowartościowi lub mocniejsi, są także przedstawiciele wszelkich odcieni burżuazji, których usługi będą potrzebne Francji jutrzejszej. Nie waham się nawet przyznać, że pewne grupy, należące do wykształconych środowisk starej burżuazji liberalnej i katolickiej, utworzyły najbardziej zwarte ośrodki oporu narodu.

Ale te jednostki i te grupy pierwsze z pewnością przyznałyby, w prawości swego sumienia, że klasa, do której należą, nie jest już w stanie utrzymać swego monopolu posiadania, ani, co za tym idzie, zachować przywileju rzą-

dzenia, że tym samym historyczne jej istnienie jest skończone.

Francja znajduje się dziś u końca drugiej rewolucji, która w istocie trwa już od stu lat. Pierwsza przekazała władzę klasie wznoszącej się i dzierżącej już wielką część własności. Druga — wykluczyła klasę podupadłą, która nie umiała przystosować swego temperamentu ani do konieczności produkcji przemysłowej, ani do potrzeb rządów demokratycznych.

ROZDZIAŁ V.

Wznoszono niegdyś okrzyk: « Król umarł, niech żyje król! » i przekazywano prawomocnie monarchię następcy; władza nie wygasła nawet na chwilę. Królowa-burżuazja umarła we Francji, ale Francja nie ma jej kim zastąpić. Ma abosłutną odrazę do dyktatur totalitarnych, które zresztą zostaną unicestwione tam, gdzie istnieją, bo nie przeżyją wojny, a ludzkość wypleni tego raka, który zaczął ją toczyć.

Powrócić do dawnej formy rządów sprzed roku 1789, sprzed 1830 lub nawet sprzed 1848? Przedsięwzięcie to nazajutrz po klęsce 1871 roku, nie powiodło się potężnej partii monarchistycznej, posiadającej większość w Zgromadzeniu Narodowym, opartej na świeżej jeszcze tradycji i wierności. Któż mógłby dziś trzeźwo myśleć o wznowieniu go, gdy monarchia jest tylko upartym marzeniem kilku teoretyków, gdy nikt już nawet jej nie pamięta?

Doświadczenie angielskie lub belgijskie wykazało wprawdzie, że monarchia nie wyklucza rzeczywistej demokracji. Ale we Francji już od stu lat przestała ona uosabiać jedność narodową i nie mogłaby się oprzeć ani na trwałości arystokracji, ani na zwartości burżuazji, ani na « wiernym ludzie ». Gdyby zaś pojawiła się jako ustrój parlamentarny o

tendencjach liberalnych, wznowiłaby jedynie słabość parlamentaryzmu Republiki. Gdyby się okazała anty-rewolucyjną restauracją, stanęłaby w gwałtownej opozycji do rzeczywistości i konieczności dziejowej. Francja wie dobrze, że wszystkie te urojenia są nawracaniem do przeszłości, bezpowrotnie minionej.

Z drugiej strony nigdy nie wzięła za dobrą monetę ustroju wyrosłego na klęsce, a który się mieni być « Rewolucją Narodową ». Francja przeczuwa w nim tandetny kompromis pomiędzy zasadami starej monarchii z Bożej łaski, o której nie chce słyszeć, a zakusami totalitarnymi, które odrzuca z większą jeszcze odrazą. Jej ciągle wahania i niekonsekwencje uwypuklają wrodzone sprzeczności, które ją paczą. Któż więc jest spadkobiercą republiki burżuazyjnej, kto będzie następcą?

Francja stoi wobec bezkrólewia, którego trwania i wyniku nie potrafi przewidzieć. Te wielkie przerwy są zawsze pełne tragicznego niepokoju i dzisiaj otchłań rozwiera się przed krajem, zajęтым w dwóch trzecich przez wroga, wciągniętym w wojnę, w której już nie bierze udziału, ale która trwa i której wynik zadecyduje o jego losie. Francja, nawet gdyby była wolna i miała zapewniony byt materialny, czułaby cały ciężar tego nieoczekiwanego braku suwerenności. Jakże nie miałyby się czuć nim przytłoczona w niesłychanej koniunkturze, w jakiej postawiły ją dziś wypadki.

Oczywiście, ilekroć w historii narodu istota władzy ulega zmianie, wytwarza się zjawisko, które określiłem niegdyś jako przerwę legalności *), co zostało zresztą źle zrozumiane. Nawet wówczas, kiedy nowa władza następuje bezpośrednio po dawnej, nie uzyskuje od razu gotowej już legal-

*) *Une vacance de légalité.*

ności. Instytucje władzy obalonej upadły wraz z nią, instytucje władzy nowej muszą się powoli wypracować, a przerwa jest wypełniona antraktem, o charakterze mniej lub więcej dyktatorskim. Zjawisko to jest normalne i nie wzbudza niepokoju: naród, który, jak Francuzi, zaznał licznych rewolucji politycznych, jest do niego przyzwyczajony.

Ale to, co dziś nie istnieje, to nie legalność, to władza sama, suwerenność — i niesposób dojrzeć kto i kiedy tę pustkę wypełni.

Istnieje wprawdzie spadkobierca, o którym można powiedzieć, że jest przyrodzonym suwerenem, a mianowicie lud, nazwany nie dawno w broszurce katolickiego publicysty « masami » *). Czemuż więc nie występują partie i organizacje, reprezentujące najbardziej autentycznie masy ludowe? Dlaczego nie sięgają po władzę, jak to miało miejsce 4 września 1870 roku, kiedy runęło Cesarstwo? Dlaczego opinia francuska samorzutnie nie zwraca się ku nim z wezwaniem? Lud jest zarówno jedynym prawowitym, jak i jedynym możliwym dziedzicem. On jeden pozostaje i wszystkie drogi historii wiodą ku niemu.

Nieomal jednogłośnie kraj domaga się zniesienia przywilejów i monopoli — czyli sprawiedliwości — zastąpienia hierarchii sztucznych i dziedzicznych przez hierarchie naturalne i indywidualne — czyli równości; podporządkowania interesów prywatnych dobru publicznemu — czyli zbiorowej organizacji produkcji i podziału bogactw; porządku międzynarodowego — czyli pokoju.

Socjalizm i syndykalizm od dawna uosabiały tę wolę odrodzenia. Zbiegają się z kierunkiem ewolucji ekonomicznej, bo właśnie z tej ewolucji się wyłoniły. Są sokiem

*) « *La multitude* ».

odżywczym narodu i ktokolwiek żył wśród nich, poczuł z pewnością drgające w ich głębi nieprzebrane zasoby świeżych sił. Skupiają w sobie zdobycze wykształcenia ludowego, które nie przestało rozwijać się we Francji od przeszło pół wieku, podczas gdy kultura burżuazji cofała się.

Działacz socjalistyczny lub syndykalny zadziwiał żądzą wiedzy, dojrzałością umysłu, powagą sądu; publiczność, złożona z robotników lub chłopów, śledziła na zebraniach ludowych najsubtelniejsze pokazy techniczne z uwagą, przejęciem i radością, które nigdy nie przestawały mnie wzruszać. Pod tym względem jestem szowinistą: pracujący lud francuski jest z pewnością najinteligentniejszym ze wszystkich ludów.

Główną przyczyną zmienności rządów Trzeciej Republiki był nieporządek, brak dyscypliny i nieumiejętności tworzenia trwałych, zwartych i jednolitych partii, na których z konieczności musi się opierać ustrój parlamentarny. Ale wspominałem już, że partie ludowe nie miały nic wspólnego z tą czysto burżuazyjną nieudolnością. One same stały zawsze zwartą masą, uprawiały ścisłą zgodność taktyki i głosowania, a w działalności zastosowywały się do publicznie rozważanych i określanych programów.

Można by było raczej zarzucić im, że popadły w odwrotną przesadę, że zbyt wiele poświęciły prawu wewnętrznej jedności i zgody i zarzut ten — moim zdaniem — byłby do pewnego stopnia uzasadniony. Dyscyplina w partii jest stanem normalnym i jedność jej powinna być surowo strzeżona, niedopuszczalne są egoistyczne odstępstwa, wywołane interesem, ambicją i uleganiem wszelkiego rodzaju pokusom.

Natomiast rozluźnienie lub nawet rozerwanie więzów partii powinno być brane pod uwagę ze zdecydowaną goto-

wością zawsze wtedy, ilekroć nadzwyczajne przesilenia nadają zagadnieniom życia publicznego wagę konfliktu sumienia indywidualnego. Prawdziwe kryterium moralności tak w życiu partii, jak w większości wypadków życia indywidualnego — to bezinteresowność. Zerwanie więzów partyjnych jest niemoralne i ohydne, jeśli jest w jakimkolwiek stopniu zabarwione chęcią zysku. Staje się jednak godne szacunku i uznania, kiedy odpowiada kategorycznym wymaganiom sumienia wobec zasadniczego problemu. Właśnie dzięki tym wysiłkom rozróżnień indywidualnych partie angielskie, miast zakrzepnąć w dogmatyczności programów i niezmienności ram, mogły przekształcać się praktycznie i odnawiać z postępem czasu.

Ale dość już tej dygresji, na którą pozwoliłem sobie jedynie po to, aby dać świadectwo swej szczerości. Socjalizm i syndykalizm, odpowiadające potrzebom ideowym i uczuciowym szerokich mas, oddychające rytmem światowego rozwoju ekonomicznego, oparte na mocnej strukturze i wypróbowanych metodach propagandy, werbunku i organizacji, wykazawszy się ponadto zdolnością rządzenia, przez swój udział w życiu publicznym i kierowanie własną wewnętrzną demokracją, posiadały wszelkie kwalifikacje i tytuły po temu, by objąć spuściznę w imieniu ludu pracującego.

Faktem jest jednak, że naród nie wyciągnął rąk ku nim. Mało tego, zewsząd potrosze dochodziły szydercze pogłoski, pochodzące nieraz od ludzi, którzy zawdzięczali socjalizmowi korzystną karierę: « Socjalizm znikł, jakby się ulotnił w ogniu wypadków ». Inni z nietajonym zadowoleniem notowali jego « nieuleczalny upadek polityczny i intelektualny ». O syndykalizmie zaś twierdzono, że może nie całkowicie zamarł, lecz że jest tak osłabiony, że « rewolucja narodowa » za jednym zamachem wchłonie go we własne organizacje korporacyjne!...

Jest w tych ocenach niewątpliwie wiele zadufanego w sobie zaślepienia i nieostrożności. Socjalizm w stanie bankructwa? w stanie rozkładu? O ileż cięższe spadły nań ciosy nazajutrz po dniach czerwcowych 1848 roku lub nazajutrz po komunie: cieszą się, że wielkie egzekucje wojskowe i szereg represji pseudo-sądowych wykorzeniły go raz na zawsze. Powracając do naszych czasów, socjalizm znacznie był słabszy i bardziej nadwątlony niż obecnie, po Traktacie Wersalskim, po wyborach Bloku Narodowego, a szczególnie po rozłamie komunistycznym, który pozbawił go najżywotniejszych elementów. Za każdym razem jednak, na przekór złym prorokom, odradzał się z popiołów mocniejszy i bardziej świadom swej siły.

Jakże mogłoby być inaczej? Socjalizm jest koncepcją czysto ludzką, ale wyrosłą z siły faktów. Taki, jakim go uczyniła duchowa synteza Marxa i Jaurés'a, stanowiąca od 30 lat jego dogmat, znajduje się on w punkcie przecięcia wszystkich żywotnych idei naszych czasów.

Jakież są istotne problemy, wobec których stoi nasz kraj i wszystkie inne? Pogodzić prawo narodów z pokojem, prawo człowieka z porządkiem, skojarzyć zbiorową organizację produkcji i konsumpcji z rozwojem wolności osobistej! To są właśnie zagadnienia, które socjalizm określił po raz pierwszy w dziejach współczesnych, a raczej one to stworzyły socjalizm. Symbolizuje je nazwa « Socjalna Demokracja », używana przez większość jego organizacji politycznych. Prawdziwe jej znaczenie w pełni się dzisiaj ujawnia.

Przepowiedzieć więc można z zupełną pewnością: socjalizm odrodzi się raz jeszcze. Nieważnym jest, że cisza ucisku sprowadza go chwilowo do rzędu istnień embrionalnych. Siła faktów i idei sprawi swoje i odrodzenie zapewne nastąpi niebawem, niewątpliwie już nadchodzi.

Stwierdzam jednak raz jeszcze: lud francuski, lud pracujący, nie przyzywał go w chwili rozpaczliwej. Nie czuło się nawet jego obecności w tragicznych momentach klęski i zawieszenia broni. Lud, który dostrzegał rozkład burżuazji, któremu byłoby wystarczyło wysunąć się naprzód, by zająć opuszczone miejsce, zdał sobie sprawę, że socjalizm, naturalny jego wyraz, normalne narzędzie działania, także zawiódł. Dlaczego? Tu właśnie należy zdobyć się na najsurowezy rachunek sumienia



W chwili, gdy polityczne rusztowanie burżuazji załamało się wraz z klęską armii, jedna jedyna namiętność mogła zelektryzować naród francuski, ożywić go, skupić w zwartą jedność: namiętność patriotyczna, narodowy instynkt samozachowawczy. Pociągnąć za sobą cały naród lub posłużyć jako narzędzie samorządowego odruchu narodu, mogła tylko partia, która byłaby wcieleniem tego instynku.

Jakobini z « Komitetu Ocalenia Publicznego » uosabiali « świętą miłość ojczyzny » w 1793 roku; Blanqui był jej wcieleniem w czasie oblężenia Paryża; Jaurés, gdyby żył, byłby nim podczas wojny 1914 roku, a gdy padł ofiarą zbrodni, jego nauczyciele i uczniowie: Guesde, Renaudel, Vaillant i Albert Thomas pchnęli lud pracujący w pierwsze szeregi walczących.

Przyznać trzeba, że w 1940 roku socjalizm nie był takim wcieleniem patriotyzmu. Nie dlatego, jak insynuują oszczerzy, by « ciągu długotrwałej propagandy zapomniał o narodzie », nie dlatego że był obciążony ciężarem licznych kampanii « antymilitarystycznych i internacjonalistycznych ».

Zawsze uważał on, że porządek międzynarodowy musi

mieć za podwalinę narody wolne i niepodległe. Zwalczał szowinizm, ale pozostawał gorąco patriotyczny. Pracował całą duszą nad ugruntowaniem pokoju sprawiedliwego, trwałego i opartego na zasadzie równości, lecz nigdy nie uprawiał tchórzliwych form pacyfizmu i gardził haniebnym mieszanym pojęciem pokoju i poniżenia niewoli; nigdy nie przestał też głosić, że pierwszy podniesie się dla obrony granic zaatakowanego kraju. Drwił, czasem w niesmaczny sposób, ze zwyczaju zamykania na długi okres czasu synów robotniczych w nieróbstwie koszar. Słusznie potępiał potworny system, nie do zniesienia od chwili, gdy każdy obywatel stał się żołnierzem, czynienia z armii w czasach pokojowych stróża « porządku » burżuazyjnego, t.j. narzędzia jednej klasy przeciw olbrzymiej większości narodu.

Ale od chwili niezapomnianego wysiłku Jaurés'a pracował nieustannie nad podniesieniem organizacji Obrony Narodowej do poziomu postępu nauki, techniki i praw obywatelskich. Grupa socjalistyczna w parlamencie, przez tradycyjną wierność dla starego symbolu, stale odmawiała kredytów dla armii, bo wiedziała, że to nie wpłynie na jej losy. Pod tym względem gest partii socjalistycznej nie był wolny od hipokryzji, ale gdy w 1936 roku została powołana do rządu, pierwsza zaproponowała kredyty nadzwyczajne, które wreszcie miały pozwolić na zastąpienie starego sprzętu wojennego z 1914 roku sprzętem nowoczesnym. Podpis jej widnieje na pierwszym od czasu rewolucji hitlerowskiej, obszernym i jednolitym programie, podjętym w celu zabezpieczenia Francji przed agresją.

Zresztą Jaurés, Guesde, Vaillant uczestniczyli w takich samych kampaniach, w podobnych głosowaniach; czynili to nawet z większą zaciętością polemiczną, a wspomnienie to nie przeszkodziło w ciągu poprzedniej wojny w nawią-

zaniu, bez najmniejszej trudności, kontaktu patriotycznego z masami ludowymi.

Zatem nie stara doktryna i odwieczna propaganda socjalizmu oddaliła od niego lud w godzinie klęski; przyczyna była prostsza i bliższa, była nią wymuszona i dwuznaczna postawa, którą socjalizm od czasu Monachium przybrał wobec zagadnienia wojny. Lud pracujący na próżno oczekiwał od niego jasnego, porywającego rozkazu.

Socjalizm nie potrafił zająć otwartego stanowiska, zaangażować się w jednym czy drugim kierunku. Dokumenty, wypracowane przez jego zgromadzenia lub grupę parlamentarną, wykazują wprowadzić system jasno zarysowany i określony. Ponieważ najczęściej sam redagowałem te teksty oficjalne, wiem dobrze, że zawsze ściśle przestrzegały doktryny bezpieczeństwa zbiorowego, pojętego jako gwarancja pokoju, opartego na wierności zobowiązaniom, że jasno określały, jako pierwszy obowiązek pracujących, obronę niepodległości ojczyzny przed wszelką agresją, bez względu na to, jakieby to pociągało ryzyko.

Ale formuły wniosków lub rezolucji mało znaczą w opinii ludowej, na którą wpływa jedynie czyn i postawa. Otóż postawa ta była dwuznaczna, chwiejna, jak gdyby zawstydzona sobą samą. W rzeczywistości tekstom, które oficjalnie określały stanowisko partii, przeciwstawiła się mniejszość, poważna raczej składem ludzi, którzy nią jeszcze kierowali, niż liczbą, groźna bardziej przez argumenty, które ukrywała, niż przez te, które głosiła.

Socjalizm francuski rozpadł się istotnie, od czasu Monachium, na dwa odłamy, których poglądy różniły się zasadniczo co do punktu kapitalnego problemu życia publicznego; to jeden, to drugi zyskiwał przewagę, zależnie od okoliczności. Ten rozdźwięk wewnętrzny spowodował

niemoc, zaniemówienie socjalizmu. Chciał za wszelką cenę zachować swą formalną jedność, a każdy zdecydowany krok czy nawet bardziej stanowcze słowo, ujawniłoby ukrywane różnice, spowodowałyby niezawodnie rozłam. Siły przeciwne, które się w nim zwalczały, skompensowały się wzajemnie do tego stopnia, że się zniosły.

Równocześnie ataki z zewnątrz, które rozbijały się o jego jedność tak długo, jak była rzeczywistą, przybierały na rozkładowej sile, odkąd znalazły oddźwięk w jego własnych szeregach. Tak przez dwa lata prawie wegetował upokorzony, podejrzewany, aż w końcu przestano dostrzegać jego obecność. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby otwarty rozłam rozdzielił był czynniki, niezdolne do pogodzenia się wobec żywotnego problemu. Ten moment byłby decydujący; masy ludowe byłyby się natychmiast skupiły wokół tych, którzy dostrzegali właściwą drogę. Przyznałem to już. Religia jedności wzięła jednak górę.



Dodam z tą samą szczerością, że w oczach opinii partia była zachwiana, a raczej skompromitowana przez niedawną współpracę z komunizmem. Oczywiście, nie miała powodu wstydić się zawarcia, w wirze powstania 6-go lutego i w obliczu grożącego Republice niebezpieczeństwa, owego paktu « Jedności Akcji », który był podstawą Frontu Ludowego. Samorzutny i nieodparty instynkt mas narzucił to zbliżenie, które miało stać się i stało się istotnie ocaleniem wolności.

Dziś, gdy widzimy, jak korzystając z klęski narodowej, rozwinęło się w całej pełni przedsięwzięcie, którego ów szósty dzień lutego był tylko pierwszym epizodem, trudno nie przypuszczać, że jedynie zjednoczenie wszystkich sił

republikańskich i demokratycznych ustrzegło Francję, od tego iż nie uległa już pięć lat temu losowi Hiszpanii generala Franco.

Bo cóż było zgubnego, czy nieuczciwego w istocie tego przymierza? Czyż tylko « kolaboracja » z innymi Francuzami byłaby wzbroniona? Nie można też, bez niesprawiedliwości, zarzucić partii socjalistycznej, że wobec opinii mas ludowych dała swoje życie na pakt francusko-sowiecki, przygotowany już w 1935 roku przez Flandina i Laval, ani też, że w okresie między Monachium a wybuchem wojny popierała projekt przymierza wojskowego z Sowietami. Dalszy rozwój wypadków wykazał słusność i tego kroku: ścisłe zbliżenie demokracji francuskich i angielskich z Rosją sowiecką, to znaczy międzynarodowy « Front Ludowy », byłoby ocaliło pokój.

Lecz właśnie Stalin uchylił się od tego zbliżenia — zdecydował się ostatecznie na paktowanie z Hitlerem. Targ, uбитy z Hitlerem, pozwolił na inwazję Polski i zdecydował o wojnie, co rozpętała ogólne wzburzenie, jakże uzasadnione: Stalin zdradził sprawę pokoju, a partia komunistyczna, pozostając mu uporczywie wierna, zdradzała Francję.

W świetle tych tragicznych perypetii naturalną rzeczą było, że przypominano wszystkie kręactwa komunizmu francuskiego w ciągu ostatnich lat. Propagował on, aż do paktu 1935 roku, « defetyzm rewolucyjny »; już nazajutrz po pakcie stał się najgorętszym obrońcą honoru i niepodległości ojczyzny; aż do chwili paktu niemiecko-sowieckiego nadawał ton i inicjatywę kampanii przeciw « narodowemu socjalizmowi »; już nazajutrz ogłaszał niezmienną wiernopoddanie Stalinowi, sprzymierzonemu z Hitlerem przeciw Francji.

Te zmiany frontu dokonywane były nagle, za jednym

zamachem i nie dadzą się wytłumaczyć niczym innym, jak tylko zmianą rozkazów nadchodzących z Moskwy, a powodowanych kolejnymi zmianami polityki sowieckiej. W ten sposób stało się widocznym, że kierownictwo francuskiej partii komunistycznej nie znajdowało się w jej własnych rękach, lecz było jej narzucone z zewnątrz. Słuchała ona ślepo rozkazów, wydawanych nie przez międzynarodową organizację, ale przez pewne mocarstwo — przez państwo, które rozkazy zmieniało zależnie od własnych narodowych interesów. Nie była zatem partią międzynarodową, lecz partią nacjonalistyczną obcego kraju.

To rozróżnienie jest doniosłe. Internacjonalizm opiera się na założeniu, że pomiędzy wszystkimi narodami, które doszły do tego samego stadium rozwoju ekonomicznego, istnieje pewna ilość nierozdzielnych interesów i wspólnych ideałów. Międzynarodowa partia robotnicza działa w przekonaniu, że interes każdego kraju — jeśli wniknąć weń dość głęboko i brać pod uwagę przyszłość — jest nierozłączny i trwałym i głębokim dobrem wszystkich krajów Europy, a nawet całej ludzkości. Uważa, że służąc sprawie międzynarodowej, służy tym samym sprawie francuskiej. Będąc międzynarodową i właśnie dlatego jest jednocześnie narodową.

Partia komunistyczna natomiast składała dowody, że jest partią cudzoziemskiego nacjonalizmu, skoro opierała się na założeniu, że sprawa robotników innych krajów zależy od interesu jednego tylko państwa — republiki sowieckiej i to nie od jej korzyści idealnej i trwałej, lecz od zmiennych faz jej chwilowych interesów politycznych.

Otóż w sierpniu 1939 roku Stalin zdecydował, że leży w interesie Republiki Sowieckiej sprzymierzyć się z Hitlerem, wrogiem Francji. Było więc rzeczą nieuniknioną, że

w czasie wojny i nazajutrz po klęsce uległość komunistów francuskich wobec Stalina została uznana za zdradę kraju. Było rzeczą nieuniknioną, że wstręt, wywołany tą zdradą, zwrócił się także mniej lub więcej wyraźnie przeciw partii socjalistycznej, uważanej na najbliższą partii komunistycznej, którą wprowadziła — poręczając za nią — do koalicji « Frontu Ludowego », a potem do większości, wynikłej z wyborów 1935 roku.

Pomieszanie pojęć mogło tym łatwiej nastąpić, że znaczny odłam opinii nigdy dokładnie nie rozróżniał socjalizmu i komunizmu, mimo że idzie tu o dwie absolutnie różne formy doktryny i akcji robotniczej. Tą samą nazwą « marksizmu » obejmuje jedną i drugą w potocznym języku wspólnych prześladowców. W sytuacji, której wszystkie elementy się zmieniły, poszło w zapomnienie, że « jedność akcji », narzucona była przez okoliczności i że właściwymi odpowiedzialnymi autorami jej byli po prostu twórcy spisku, zagrażającego wolnościom republikańskim. Wrzucano komunistów i socjalistów do jednego worka, piętnowano jednych ciosem, wymierzonym przeciwko drugim — wyeliminowanie było ostentacyjne i jak gdyby automatyczne.

Dzisiaj, to znaczy w piętnaście miesięcy po zawieszeniu broni, to smutne nieporozumienie zdaje się być wyjaśnione, a jednak problem, który tak ciężko zaważył na latach przedwojennych, nie mniej groźnym ciężarem obarcza przyszłość.

Jakie miejsce będzie można i trzeba dać komunizmowi w politycznym życiu Francji? Pytanie to pozostaje otwarte i musimy je rozpatrzyć tym rzetelniej, że nastąpiła w pozycji sowieckiej nowa zmiana, która natychmiast odbiła się — tak jak poprzednie — na komunizmie francuskim.

Stalin został niespodziewanie zaatakowany przez Hitle-

ra. Rosja sowiecka walczy dziś o stawkę, obejmującą w pierwszym rzędzie uwolnienie krajów, uciśnionych przez armie hitlerowskie, a więc i Francji. Utworzył się znowu Front Ludowy narodów. W walce tej Rosja zdumiała opinię świata, zdobyła jej podziw.

Myśliciele, którzy zarzucali bolszewizmowi wypaczenie i poniżenie jednostki ludzkiej, jako zbrodnię nie do okupienia, muszą dzisiaj, jeśli są uczciwi, poddać rewizji swoje orzeczenie. Bolszewizm niewątpliwie zniszczył, o tyle o ile one istniały w Rosji, poczucie wolności osobistej, niezależność krytyczną, skrupuły intelektualne i moralne, ale zachował, a nawet pobudził odwagę i poświęcenie: stworzył wiarę. Tak, jak masy chłopów francuskich w okresie terroru, lud rosyjski przywiązany jest do ustroju, któremu podlega, przez nienawiść do ustroju, który bolszewizm obalił i za wrogów uważa tych, którzy kuszą się go oswabadzać.

We Francji bałwochwalcze posłuszeństwo dla Stalina zbiega się raz jeszcze, jak w roku 1935, jak w przeddzień Monachium, ze wskazaniem patriotyzmu narodowego — a tym razem nie objawia się próżnymi słowami, ani podejrzaną agitacją. Komuniści francuscy narażają życie, są w pierwszych szeregach prześladowanych, jak i w ruchu oporu — spośród nich, tak jak spośród Żydów, Hitler wybiera swoich zakładników i swoje ofiary. Nazajutrz po zwycięstwie okaże się jasno, że nowa jedność narodowa jest częściowo scementowana ich krwią — jakże można będzie ich wykluczyć?

Ale to nie rozwiąże problemu; będzie się nadal stało wobec faktu wkraczania cudzoziemskiej partii nacjonalistycznej w polityczne życie francuskie. Aby komunizm francuski, pomimo swego stanu służbowego, mógł być uznany za element, mogący być przyswojony przez organizm na-

rodowy, aby mógł znaleźć miejsce właściwe w całokształcie życia publicznego — koniecznie będzie musiała zajść jakaś zasadnicza zmiana bądź w naturze więzów, które łączą go z Rosją, bądź w stosunkach, które łączyć będą Rosję sowiecką ze społecznością europejską. Koniecznym będzie wyzwolenie się komunizmu francuskiego z zależności od Rosji sowieckiej lub zaangażowanie się Rosji sowieckiej wobec Europy, a może nawet i jedno i drugie.

Gdyby takie zmiany nie zaszły, Francja musiałaby stać się znowu ofiarą wewnętrznych trudności, z których powodu tyle już przecierpiała. Ale czyż jest zbyt optymistycznym liczyć na zmiany? Podobnie jak komunizm francuski ściśle zależał od bolszewizmu rosyjskiego, istniały u nas elementy związane silną ideologiczną więzią z « narodowym socjalizmem » niemieckim lub z faszyzmem włoskim. Czyż chimeryczną byłaby nadzieja, że wojna, wspólne cierpienia, oswobodzenie w końcu, wypalą wszystkie te rany jednocześnie, a we Francji pozostaną tylko wolni Francuzi? Czyż nie jest prawdopodobne, że Rosja, by stawić czoła napaści hitlerowskiej, będzie musiała zmienić zwolna ducha swego ustroju wewnętrznego?

Osobiście wierzę mocno, że po zniknięciu dyktatur totalistycznych, po zwycięstwie demokracji anglosaskich, w którym bohatersko uczestniczyła — ale któremu zawdzięczać będzie również własne ocalenie — Rosja zostanie z natury rzeczy wcielona w społeczność, w federację europejską. W miarę, jak wzmocni się między państwami pokojowe współdziałanie i współzawodnictwo, które będą istotnym traktatem pokojowym, w miarę jak zarysują się wspólne interesy ideowe i materialne, Rosja sowiecka utraci charakter mocarstwa obcego Europie, a komunizm francuski przestanie być sektą obcą narodowi.

ROZDZIAŁ VI

Niepokojąca dwuznaczność stosunku socjalistów do wojny, nieodróżnianie ich przez ogół od komunistów, splamionych zdradą — to dwie przyczyny dostateczne, by zrozumieć, dlaczego socjalizm wyrzucony został poza nawias wydarzeń, które zdawały się logicznie prowadzić do objęcia naczelnej władzy, w chwili kiedy władzy tej zabrakło.

Czy jednak nieobecność socjalizmu, a w konsekwencji nieobecność ludu, nie miały i innych powodów? Z pewnością tak; bolączki tej nie zgłębiono jeszcze dokładnie. Stwierdziłem, że walczący lud robotniczy oraz socjalizm, który był jego naturalnym wyrazicielem, dał przykład dyscypliny, dojrzałości politycznej, dążeń i zdolności do racjonalnego wychowania. Potwierdzam to raz jeszcze. Odpieram i odrzucam stronnicze oskarżenie, jakoby równoległe do skorumpowania burżuazji rozwinął on skorumpowanie ludu, spowodował postęp do zdobywania materialnych korzyści, rozkrzewił lenistwo i egoizm niecierpliwą gonitwą za dobrobytem — słowem, aby — według najbardziej rozpowszechnionego zarzutu — podważył poczucie obowiązków, domagając się wyłącznie praw.

Powtarza się powszechnie na przykład, że ustawy spo-

leczne z 1936 roku, zmniejszając ilość godzin w tygodniu roboczym, podnosząc wysokość płacy, wprowadzając urlopy, jako pojęcie i fakt, spowodowały zepsucie moralne klasy robotniczej. Byłoby błędem zapomnieć, że ustawy te, które łatwo ganić po niewczasie, były okupem wojny domowej; ale w istocie nie urlopy, nie krótszy dzień pracy, ani wyższe zarobki obniżają moralność robotników, lecz bezrobocie i nędza.

Urlop nie jest próżnowaniem, jest wypoczynkiem po pracy. Zorganizowanie wywczasów, podniesienie siły nabywczej zarobków pozwalają rodzinie robotnika na utrzymanie zdrowia przez zaprawę fizyczną, dobrego humoru przez sporty, na oddanie się radościom i obowiązkom życia rodzinnego — pozwolą kiedyś matce poświęcić się całkowicie ognisku domowemu, czyli wzmocnią równocześnie wszystkie czynniki moralne egzystencji.

Zartowano dużo z tygodnia o dwóch niedzielach. Może nie był wykwintnym widokiem pochód młodych małżeństw i dzieci na tandemach, motocyklach, pojazdach, który wypełniał wszystkie drogi wokoło wielkich miast, ciągnąc na week-endy, czy też obozowanie lub spożycie posiłku na skraju lasu — mniej wykwintny na pewno, niż place golfowe, gdzie o tej samej porze zbierali się pracodawcy — ale był to widok moralny i pokrzepiający. W ten właśnie sposób rasa odnawia się i odświeża, bo nie ma radości pracy bez radości życia.

Przyglądając się temu zagadnieniu z dalszej perspektywy, czyż można zaprzeczyć — nawet jeśli się człowiek ograniczy do kapitalistycznej koncepcji społeczeństwa — że z ciągłym postępem wiedzy i techniki musi iść w parze stałe polepszanie się bytu robotnika? Przemysł współczesny pozwala na tworzenie w coraz krótszym czasie coraz większej ilości dóbr. Czy można w tym zbiorowym wzbogaca-

niu odnawiać robotnikowi jego skromnej części — i na czym ta częśćka będzie polegała, jeśli nie na skróceniu normalnego czasu pracy i podniesieniu normalnej taryfy płac? To grosz należny pracownikowi — pozbawić go tej należności byłoby najbardziej krzywdzącym nadużyciem. Kiedy robotnik się o nią upomina, załamuje się ręce nad jego „roszczeniami”. Nie upominałby się, gdyby mu ją zawczasu, dobrowolnie przyznano.

Śmieszne jest co najmniej zdziwienie burżuazji z powodu „wzmoczenia się roszczeń i żądań” wśród pracowników najemnych wszelkiego rodzaju. Właśnie dopominanie się o należne im prawa wywołało rozbudzenie się ich świadomości. Zaczęli od zrzeszania się, aby rewindykować, aby się bronić przeciw spżowemu prawu, które ustalało ich pracę i zapłatę, nie w stosunku do wzrostu bogactwa ogólnego i kosztów utrzymania, ale według praw podaży i popytu i w zależności od kursu jednostki ludzkiej na giełdzie pracy.

Czy wiadomo, jaki jest budżet robotnika przemysłowego lub rolnego? Czy ma się pojęcie, jak dalece najmniejsze obniżenie taryfy płacy za godzinę odbija się na życiu każdego członka jego rodziny? Oskarża się go, że nie dosyć pamiętał o swoich obowiązkach, ale czy nie zaczęto od zapomnienia o jego prawach? W ciągu długich stuleci pracownicy nie znali i nie zaznali niczego prócz obowiązków, narzuconych koniecznością utrzymania się przy życiu, przymusem społecznym i perswazją Kościoła. To, co robotnicy nazywają swoim wyzwoleniem, polega na pracowitym zdobywaniu należnych, a zapoznanych praw, a zdobywanie ich jeszcze nie dobiega kresu.

Mówi się, że nie ma praw bez obowiązków. Niewątpliwie, ale nie ma również obowiązków bez praw. Jakże się dziwić, że ta solidarność powszechna, od której tak długo ich odsądzano, nie zawsze jest obecna w ich świadomości.

Czyż zawsze jest ona przestrzegana przez tych, których nigdy nie pozbawiano ich praw, a których prawa i dziś są jeszcze podobne do przywilejów?

Wszystko co dotąd powiedziałem, to pewniki, wszystkie moje dane są nieodparte, a jednak, kiedy usiłuję wnikać w siebie do głębi, wewnętrzny odruch, niemal ukryte cierpienie ostrzega mnie, że dotykam jednego właśnie z najgłębszych korzeni zła. Z punktu widzenia sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego wszystkie moje argumenty, wszystkie moje dane są prawidłowe. Nie wolno mówić o zepsuciu ludu, gdy istnieje demoralizacja burżuazji, nie wolno obciążać tym ciężkim oskarżeniem masy pracującej, zastępców działaczy socjalistycznych i syndykalnych, ani nawet ich odpowiedzialnych przywódców. Przypuśćmy, że w takim czy innym terenie, w tych czy innych okolicznościach można by się w nich dopatrzeć przesadnych wymagań lub rozgoryczenia — byłiby i tak rozgrzeszeni. Co do tego się pogodzimy.

Ale nie to jest problemem zasadniczym. Idzie o to, aby zgłębić, dlaczego w chwili, gdy zawałenie się burżuazji spowodowało bezkrólewie, lud pracujący, za pośrednictwem prawowitych przedstawicieli, nie podjął spuścizny? Otóż z tego punktu widzenia brak winy nie był kwalifikacją dostateczną. Sam fakt, że lud pracujący nie jest obciążony grzechami, o które go oskarżano, nie wystarczał, aby uczynić go godnym posłannictwa władzy, do której był powołany. Burżuazja runęła, bo okazała się niegodną swej roli — trzeba było, aby klasa robotnicza okazała się jej godną w całej pełni.

Władza zwierzchnia wymaga wyższości. Moralność klasy robotniczej była nienaganną, ale trzeba by było ponadto, aby olśniewała swą wyższością moralną, a tego jej właśnie za-

brakło. By porwać za sobą cały naród, zabrakło jej szlachtności, wspaniałomyślności, ideowej postawy, wyraźnej bezinteresowności i poświęcenia się dla dobra powszechnego — tego wszystkiego, co Nietzsche nazywa gdzieś „wielkim stylem w etyce”, wszystkiego, co zbliża moralność do religii, a propagandę do apostołstwa.



Chciałbym i tym razem nadać mej myśli wyrazistość, ilustrując ją przykładami. Rząd „Frontu Ludowego”, wyłoniony z wyborów 1936 roku, uchwalił ustawy, które skracaly czas pracy i za pomocą mechanizmu układów zbiorowych utrzymywały podwyżkę płac, oraz zatwierdzały organizację związków zawodowych i przyznawały delegatom robotniczym uprawnienia wewnątrz przedsiębiorstw. Równocześnie rząd ten, zdając sobie sprawę z tego, jaką groźbę stanowiły zbrojenia hitlerowskie i stwierdziwszy, że nic nie zostało zrobione, a nawet od ostatniej wojny nie podjęto żadnej poważniejszej próby odnowienia sprzętu wojennego Francji — opracował obszerny i metodyczny program fabrykacji. Oba te dzieła miały być dokonywane jednocześnie, nie szkodząc sobie nawzajem, a zresztą tam, gdzie potrzeby obrony narodowej wchodziły w grę, ustawodawstwo socjalne przewidywało i pozwalało na wszelkie odchylenia.

Opinia publiczna zaniepokoiła się jednak, że rozgrywki parlamentarne będą szkopułem w wykonaniu programu. Obawę tę rozprzestrzeniano i rozdmuchiowano z nieźycżliwością. Dowodem na to jest fakt, że program 1936 roku — mimo że w trakcie wykonywania rozszerzany — nie doznał żadnych opóźnień. Wprost przeciwnie, w chwili rozpoczęcia wojny, wbrew temu, co się stale powtarza w kraju i poza krajem, realizacja programu znacznie wyprzedziła

przewidywania. Armia francuska dysponowała już „nowoczesnym materiałem”, ilościowo dostatecznym, by stanąć na stopniu „honorowej równości” z armią niemiecką, co zresztą tłumaczy, że dowódcy odnosili się do perspektywy udziału w wojnie bez większych obaw.

Mimo, że końcowy i ogólny wynik nie okazał się zły, trzeba jednak przyznać, że wykonanie programu napotykało ze strony robotników na istotne trudności. Związki zawodowe bojkotowały lub wprost odmawiały nadliczbowych godzin pracy, choćby niezbędnych dla naglącej produkcji, agitacja w wielu fabrykach trwała, wydajność pracy na godzinę obniżyła się.

Gdy zwracano się do robotników z zarzutem, że nie rozumieją istoty i ducha nowych ustaw, odpowiadali: „Bronimy tak nieustępliwie ich litery, gdyż czujemy, że są zagrożone. Pracodawcy nie poddali im się z dobrą wolą, wykorzystują potrzeby obrony narodowej, by je złamać. Żąda się od nas wysiłku w pracy, ale czy pracodawcy zdobyli się ze swej strony na wysiłek w metodach, organizacji, inwestycjach? Czy wznieśli nowe budynki, zaopatrzyli je w nowe maszyny, czy pomnożyli ekipy, wykształcili specjalistów? Nie, bali się inicjatywy, bali się ryzyka, bali się, że mniej zarobią na zamówieniach państwowych, niż na zamówieniach normalnego rynku. A potem zwracają się do nas, byśmy braki i opóźnienia, spowodowane ich nieudolnością, naprawiali z poświęceniem, które jutro przeciw nam obrócą. Dlaczego my jedni mielibyśmy ponosić kosztą wspólnego wysiłku?”

Mówiąc w ten sposób, mieli dużo racji; niemal wszystko w ich wywodach było ścisłe. Na płaszczyźnie sprawiedliwego podziału dochodu społecznego nic im nie można zarzucić. Nie ponosili żadnej winy — ale czy okazali się godni misji kierowniczej, którą sobie przypisywali?

Słusznie wytykali pracodawcom wyrachowaną chęć zysku, obawę straty i to uczucie, które bardziej, niż cokolwiek paczy serce ludzkie, uczucie strachu, by nie stać się kozłem ofiarnym swoich szlachetnych intencji — ale czy sami nie ulegli równie niskim pobudkom? Podchwytyjąc małostkowe argumenty burżuazji, sami opadali na jej poziom, miast wznieść się ponadto. Tą małostkową złośliwością właśnie burżuazja, jako klasa kierująca, kopała sobie grób.

By móc zająć jej miejsce należało wykazać, że nie uległo się zarazie: „Tak, z radością spełnimy życzenia ogółu. Znamy prawdziwy stan rzeczy, widzimy jasno. Wiemy, jakie błędy nasz późny dar naprawia, wiemy, że ofiara będzie daremną jeśli i pracodawcy nie zrobią ze swej strony więcej, niż jest ich obowiązkiem. Mniejsza z tym — my nie targujemy się, nie spieramy, dajemy przykład, który niech ich upokorzy i który w każdym razie będą musieli naśladować. Wy, burżujo, stawiajcie sobie obliczenia wasze i intrygi ponad wspólną potrzebę, ale nie my”.

Oto słowa, które były potrzebne, aby okazać się godnym. Głos narodu byłby wezwał lub powitał klasę robotniczą, gdyby była zmiażdżyła przeciętność burżuazji swą szlachetnością. gdyby ją olśniła swą wielkoduszością.

To, co powiedziałem o przemyśle wojennym można by odnieść i do wielu analogicznych wypadków, jak na przykład prace, związane z wystawą 1937 roku. Wolę jednak wybrać następny przykład z odmiennej dziedziny.

Od czasu wojny 1914 - 1918 i Traktatu Wersalskiego, idea pokoju zajęła pierwsze miejsce w propagandzie socjalistycznej i syndykalnej. Nie mogło być inaczej: potworna bezowocność wojny nigdy nie ujawniła się z bardziej okrutną wyrazistością. Bohaterstwo, hekatomba, zwycięstwo doprowadziły jedynie do bezdenne go zawodu. Ale jakich argu-

mentów używała propaganda pacyfistyczna, prowadzona przez związki zawodowe, nauczycieli, lub wybitne czynniki partii socjalistycznej? Opierała się głównie na świętości życia jednostki. Jest to pojęcie bardzo czyste, bardzo wzniosłe, które było i pozostanie podstawą całej cywilizacji, ale pod warunkiem, że wyraża się zasadą: „Nie będziesz godził samowolnie na cudze życie”, nie zaś nakazem: „Przed wszystkim ratuj własną skórę”.

Człowiek powinien znać cenę życia, ale musi umieć podporządkować je ideałom, które są celami zbiorowymi: sprawiedliwości i wolności ludzkiej, niepodległości narodowej, sprawie pokoju nawet, bo pokój należy do rzędu celów ludzkości, a może jest nawet najkonieczniejszym ze wszystkich, jako warunek istnienia pozostałych. To podporządkowanie nazywa się w praktyce poświęceniem, a propaganda rewolucyjna, która go już nie potrafi nauczać, obniża się i podleje; może się jeszcze czołgać poprzez dzień powszedni, lecz nie dociągnie się już do poziomu dni napięcia, niepokoju, niebezpieczeństwa

Doświadczenie wskazuje, że w chwilach przełomowych, człowiek jedynie ryzykując życie, ratuje je. Szlachetna propaganda byłaby wykazała, że w Europie, znowu pełnej gróźb, jedynym sposobem utrzymania pokoju stało się zdecydowanie i odważne podjęcie ryzyka wojny. Traktat Wersalski nie rozbroił Europy. Rewolucja hitlerowska uzbroiła ją na nowo. Otóż, w Europie pod bronią jedynym sposobem zaszachowania wojny był zbrojny system wzajemnej pomocy, a paktu pomocy mogły być skuteczne tylko w miarę gotowości każdego z zawierających je narodów honorowania swego podpisu własną krwią.

Powtarzano: „Nie będziemy umierali za Gdańsk” — ale umierać za Gdańsk znaczyło umierać za pokój, a nie

ma sposobu ratowania pokoju, jeśli się nie jest gotowym zań umrzeć.

Tak więc socjaliści i syndykaliści mieli pełną rację, głosząc pokój, ale go poniżyli i poniżyli siebie samych, przez ton egoizmu i rzekomego zdrowego rozsądku. Odwaga i duch poświęcenia to nie barbarzyńskie przeżytki, choć ludzkość nie przestała ich wprzęgać w służbę praw barbarzyńskich. Trzeba pieczołowicie pielęgnować te wielkie rycerskie cnoty; bez nich nie zbudujemy lepszej przyszłości. Po nich to, w chwilach historycznych przesileń, naród pozna swych przywódców.



Kiedy socjalistyczny mówca przemawiał do tłumu robotników, zwykł był kończyć swą mowę wezwaniem takiej mniej więcej treści: „Robotniku, wzywamy cię w nasze szeregi, lecz łącząc się z nami musisz znać zobowiązania, jakie nie siebie bierzesz. Zobowiązujesz się być wszędzie najlepszym, być wzorem dla wszystkich. Zachowanie twoje musi być wzorem godności, w warsztacie masz dawać przykład zręczności i sumiennosci. Sposób życia każdego z naszych ma wartość propagandy dla całej partii. Pomóż nam dowieść naszym przeciwnikom, że tworząc wolnych pracowników, tworzymy wolnych ludzi..”.

Socjalizm rozumiał to w odniesieniu do każdego ze swych działaczy, nie zrozumiał tego dość jasno w odniesieniu do siebie samego. On także, w działalności publicznej, w inspiracjach politycznych, w wartościach duchowych, uzasadniających jego doktrynę, powinien się być okazać najgodniejszym, najszlachetniejszym, najlepszym — on także powinien być być wzorem i przykładem dla innych partii i

dla całego narodu. Było naszym obowiązkiem dawać dumny przykład absolutnej bezinteresowności, wielkości ducha, które są właściwością młodych sił. Obowiązkiem naszym było zmierzać zawsze ku najwyższym wartościom, wykluczyć środki działania nieszlachetne i niegodne, nawet gdy ich przeciw nam używano. Nie napadać dlatego tylko, że nas atakowano, nie obrzucać obelgami dlatego tylko, że nas lżono.

Wszak my byliśmy odmienni, byliśmy na innym poziomie, na innym szczeblu człowieczeństwa i wszystko w nas powinno było o tym świadczyć. Obowiązkiem naszym nie było tylko przekonywać rozumowo; to jest konieczne, lecz nie jest wystarczające; trzeba było ponadto poruszyć uczucie, pobudzić wyobraźnię.

Po tylu latach, poświęconych działalności, po tylu miesiącach skrupulatnego przemyślenia tych spraw, zadaję sobie pytanie, czy nie ma w tym winy przywódców, których obrała sobie klasa robotnicza. Czy zrozumieli w pełni swe posłannictwo? Czy wypełnili swój obowiązek do końca? Czy wniknęliśmy dostatecznie w znaczenie przemiany, jaką wysiłek Jaurés'a wprowadził do rozumowania marksistowskiego?

Marx dostarczył robotniczej woli walki, szczególnie wzmacniającej i potężnej pomocy mianowicie przekonania, że konieczność dziejowa pracuje dla niej. Ale to, co konieczne, nie musi być jeszcze sprawiedliwe, nie musi zadawać zmysłu krytycznego i moralnego. Jaurés wykazał zatem, że rewolucja społeczna jest nie tylko nieuniknionym wynikiem rozwoju ekonomicznego, ale że będzie ona jednocześnie spełnieniem wiecznych dążeń rozumu i sumienia ludzkiego. Socjalizm właśnie wprowadzi w czyn, uczyni rzeczywistością szczytne hasła rewolucji francuskiej: „Pra-

wa człowieka i obywatela", „wolność, równość, braterstwo". Dzięki niemu demokratyczny heroizm, którego walki wypełniały Europę i świat przez wiek cały, rozrzaży się jeszcze jaśniejszym płomieniem i zwycięży. Materialistyczna koncepcja historii przesiąkła w ten sposób idealizmem republikańskim i humanitarnym.

Czy w codziennej naszej propagandzie daliśmy tym ideałom Jaurés'a należne miejsce? Czy dosyć kategorycznie odrzuciliśmy wszelkie odwoływanie się do pospolitych instynktów zwierzęcia w człowieku: brutalności, złości, zawiści, by zwracać się jedynie do najszlachetniejszych uczuć duszy ludzkiej: wrodzonej potrzeby sprawiedliwości, sympatii, braterstwa?

Banalny argument: „Daremna rzeczą jest zmieniać instytucje społeczne, zanim nie zreformuje się mentalności jednostki ludzkiej" — zbyt wygodna to rzecz odkładać konieczne zmiany do nieokreślonej przyszłości. Ale czy jednocześnie z podjęciem wysiłków o przekształcenie społeczeństwa, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by ulepszyć jednostkę, człowieka, świadomi równej wagi obu tych zadań, czy sprzęgliśmy je ze sobą, czyśmy jedno drugim przepoili?

Sam sobie zadaję te pytania i chociaż moje sumienie nie czyni mi zbyt ciężkich zarzutów, nie śmiem dać stanowczej odpowiedzi. Pierwszy okres socjalistycznej propagandy, mimo że był raczej drapieżną i zażartą walką, miał w sobie jednak więcej moralnej wielkości. Walczono wśród niebezpieczeństw i w codziennej ofierze. Z poświęcenia rosła wiara. Jeszcze Jaurés żył pod stałą groźbą więzienia i zamachu. Dziś niebezpieczeństwem zniknęło prawie że zupełnie i wiara ostygła. Staliśmy się zbyt silni, zbyt ostrożni. Powoli zastygaliśmy w formach zwykłego życia. Zbyt dobrze nam się

wiodło. W chwili, gdy naród oczekiwał wezwania, hasła do skupienia, szeregi nasze nie mogły ozwać się wielkim głosem.



Pewien myśliciel angielski, którego system wykazuje niejakie podobieństwo z systemem Marxa, utrzymywał, że w postępie historii siły moralne odgrywają nikłą rolę, że siły intelektualne, te właśnie, które kierują rozwojem materialnym, są jedynym ważnym czynnikiem ewolucji. Twierdził, że ludzkość już od 30 blisko wieków opiera życie na niezmiennych prawie podstawach moralnych, które odnaleźć można niemal identyczne, we wszystkich religiach i wszystkich filozofiach. A ponieważ ludzkość mimo to niezwykle się zmieniła w ciągu tego okresu, należałoby stąd wyciągnąć wniosek, że zmiany te nie zależą od tego praktycznie niezmiennego czynnika.

Nie przeczę tej teorii, w której zapewne jest coś z prawdy. Bardzo możliwe, że idea ciągłego postępu jest równie obca moralności jak jest obca na przykład sztuce, podczas gdy w dziedzinie czystego intelektu, nauki i techniki staje się prawem koniecznym. Ale jeśli nie ma równego postępu inteligencji i moralności, trzeba przyznać przynajmniej, że stałe istnienie pewnej atmosfery moralnej jest jednym z koniecznych warunków postępu intelektualnego. Ten zespół przekonań i wierzeń, który od zarania naszej cywilizacji jest wspólnym fundamentem ludzkości, tworzy dla inteligencji jedyną atmosferę, w której można oddychać — poza nią postęp intelektualny, a w następstwie i postęp materialny nie mógłby się dokonywać. Więc choć postęp materialny nie idzie w parze z postępem moralnym, trudno sobie wyobrazić, by moralne cofnięcie się nie pociągało za sobą

intelektualnej regresji ludzkości. „Narodowy socjalizm” hitlerowski jest tego przykładem.

W społeczeństwie, które zdławiło z zasady instynkt sprawiedliwości i miłosierdzia, rozerwało więzy rodziny i przyjaźni, zniweczyło poszanowanie ludzkiego życia, narzuciło jako obowiązek fanatyzm, okrucieństwo, donosicielstwo — w takim społeczeństwie stała atmosfera, z której postęp intelektualny czerpał, którą oddychał, nagle przestaje istnieć, a pozbawiony jej intelekt ginie. Nie umieliśmy wyciągnąć nauki z widowiska, jakie dawał w naszych oczach pijany helota.

ROZDZIAŁ VII

Ograniczę się teraz, na zakończenie, do podsumowania i uporządkowania wniosków, do których stopniowo doprowadziły mnie poprzednie rozważania.

Pewna klasa kierująca i pewien system polityczny ustąpiły skutkiem rewolucyjnego wstrząsu wypadków. Bywało już tak i Francja nie ucierpiała na tym. Znikła arystokracja feodalna, znikło królestwo z Bożej łaski. W takich wypadkach nagłym zadaniem staje się stworzenie nowych instytucji, bo naród nie może żyć bez praw. Zasada, na której instytucje te z konieczności będą oparte, nie jest nowa. Jest dana — jest znana.

Wojna światowa zakończy się, według jednomyślnej nadziei Francuzów, światowym zwycięstwem demokracji, która nie byłaby demokracją burżuazyjną, ale demokracją ludową, nie wątplą, lecz energiczną i skuteczną. Oto punkt pierwszy.

Nie jestem fabrykantem konstytucji pozostawiam tę pracę specjalistom. Ustaliłem w tych rozważaniach dwie prawdy, które wydają mi się niezbite: pierwsza, że rząd parlamentarny nie jest formą jedyną, że nie jest nawet najczystsza formą demokracji; druga, że wady tylekroć zarzucane par-

lamentaryzmowi francuskiemu, były w rzeczywistości tylko wadami burżuazji francuskiej.

Nie będę próbował dociekać, jakie miejsce winna zachować zasada parlamentarna w demokracji ludowej. Zaznaczę jedynie, że jakiekolwiek miejsce zajmą Izby w gospodarce ogólnej przyszłej republiki, nie może być mowy o zamachu, ani na zasadę wyborczą, ani na prawo powszechnego głosowania, które jest symbolem demokracji. Aby je usunąć trzeba by ducha publicznego życia Francji wydrzeć z korzeniami. Co się nie ostatnie po przeszło stuletnim doświadczeniu rządów burżuazji, to system rządzenia przez przedstawicieli w ścisłym tego słowa znaczeniu, czyli integralne przekazanie zwierzchniej władzy ludowej wybranej Izbie i skoncentrowanie jej w zgromadzeniach prawodawczych.

Skląnam się osobiście ku systemom typu amerykańskiego lub szwajcarskiego, które opierają się na rozdziale i równowadze władz, a co za tym idzie na podziale suwerenności i zapewniają władzy wykonawczej, w jej własnym zakresie działania, niezależność i ciągłość autorytetu. Systemy te tworzą rządy trwałe i mają ponadto tę zasługę, że zastępują nieco złudne pojęcie odpowiedzialności — które zawsze grało zbyt wielką rolę w naszym kraju — rzeczywistym pojęciem kontroli.

Pragnąłbym, aby tak jak w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii koncepcja władzy centralnej szła w parze z ruchem odśrodkowym, zbliżonym do federalizmu — nie obawiałem się nigdy tego określenia. Stan amerykański czy kanton szwajcarski zachowują część suwerenności demokratycznej, podtrzymują lokalne życie — człowiek dobrej woli może w nich znaleźć na miejscu pole pożytecznej i swo-

bodnej działalności — w tym znaczeniu wolno przypomnieć prowincje dawnej Francji.

Z drugiej strony pociągały mnie zawsze myśli, sformułowane przez Rathenaua natychmiast po klęsce niemieckiej 1918 roku: dekoncentracja państwa wydaje mi się równie konieczna, jako jego decentralizacja. Jedna tylko władza wykonawcza, jedna tylko władza prawodawcza nie mogą podolać wszystkim koniecznym funkcjom nowoczesnego państwa i dokoła organów centralnych, pełniących przede wszystkim rolę orientacyjną i uzgadniającą, należałoby przewidzieć grawitację państwerek — satelitów, posiadających pewną indywidualną swobodę działania.

Niemcy totalistyczne po części zrealizowały ten pogląd: istnieje Fuehrer niemiecki, ale są i fuehrerzy lokalni dla każdej miejscowości, dla każdej z wielkich dzielnic państwa, oraz fuehrerzy specjali, posiadający szeroką autonomię. Zagadnienie polega na odtworzeniu w płaszczyźnie demokratycznej tego, co Reich hitlerowski zbudował w płaszczyźnie autokracji jednostkowej. Nie chcę jednak rozwodzić się dłużej na ten temat. Można dyskutować dane problemu, nie można dyskutować z pożytkiem nad ich rozwiązaniem. Francja będzie musiała znaleźć je sama.



Drugi mój wniosek: owa ludowa demokracja musi być i będzie demokracją społeczną. To jest warunkiem koniecznym jej trwałości. Nie może być rozdziału między władzą polityczną, a potęgą gospodarczą. Burżuazja czerpała swą władzę polityczną ze swej potęgi gospodarczej. Straciła dziś swoje przywileje polityczne, gdyby jednak zachowała przywileje ekonomiczne, których również nie umiała użyć dla dobra ogólnego, Francja byłaby wystawiona na najbardziej

niebezpieczne i zmienne koleje losu. Można by z całą pewnością przepowiedzieć nowy okres zamieszek i bezsilności, nowy szereg wstrząsów, a może i rewolucji.

Burżuazja korzysta ze swoich przywilejów ekonomicznych z chwiejną i niezręczną słabością, ale dotychczas formalnie i prawnie jest jeszcze w ich posiadaniu. Należy przywrócić harmonię. Trzeba zabrać się do legalnego, stopniowego, polubownego, lecz nieustępliwego wywłaszczania — do wywłaszczania, które w rzeczywistości będzie jedynie przekazaniem prawowitemu właścicielowi. Powinniśmy dzisiaj transponować stare hasło Thiers'ea i Dufaure'a: republika ludowa będzie republiką socjalistyczną, albo nie będzie jej wcale.

Jakże zresztą pozbyć się zagadnienia socjalnego, skoro same fakty je narzucają? Czyż można będzie nadal tolerować taki stan rzeczy, w którym by ludziom brakło koniecznych środków egzystencji, zdrowego mieszkania, środków ochrony rodzin przed głodem, chłodem, chorobą i deprawacją? Czy to jest do zniesienia? Czyż nowe pokolenia zgodzą się żyć wśród tych społecznych plag i znosić je, jako nieuniknioną konieczność?

Nie, bez wątpienia; są zdecydowane stanąć do otwartej walki i opanować je wreszcie. To jest bohaterskie zadanie, które sobie wyznaczają. Ale jakże można spodziewać się wykorzenienia nędzy na płaszczyźnie innej, niż demokracja społeczna? Każde rozwiązanie, w którego skład wchodziłoby zniesienie pracy najemnej — stosunku władzy i zależności, wytworzonej przez kupno i sprzedaż pracy — pójdzie z całą koniecznością ku systemowi, w którym producenci wszelkiego rodzaju, każdy według własnego uzdolnienia, stowarzyszą się w wytwarzaniu i konsumpcji bogactw; w ten sposób społeczeństwo — świadomie czy nie świadomie — przeniesie się w pełnię ustroju kolektywistycznego.

Łatwo jest znaleźć takie określenie, jak „zniesienie pracy najemnej”. ale trzeba zdać sobie sprawę, co te słowa znaczą. Z drugiej strony każde rozwiązanie, zachowujące ramy społeczeństwa kapitalistycznego, a co za tym idzie istnienie pracy najemnej, będzie musiało przynajmniej uznać absolutne prawo pracującego do płacy. Rozumiem przez to zapłatę, wystarczającą nie tylko do zachowania przy życiu zwierzęcia roboczego ale umożliwiającą życie wolnego obywatela, a nawet — według mnie — jego rodziny. Uważam bowiem, że wynagrodzenie mężczyzny pracującego powinno, poza własnym jego utrzymaniem, zapewnić byt całej jego rodzinie i nie zgadzam się z tym, by dla utrzymania ogniska domowego, miał pozostać koniecznym wkład pracy zarobkowej kobiet i dzieci, co dzisiaj jest regułą.

Oto więc wchodzimy w tym wypadku w pełnię socjalizmu państwowego, skoro rzuca się w oczy, że władza państwowa będzie musiała określić, otoczyć opieką i gwarantować warunki bytu robotnika. Głównym zadaniem będzie wprowadzenie w rzeczywistość społeczną haseł, które w 1848 roku miały charakter haseł rewolucyjnych: prawo do życia, prawo do pracy, organizacja pracy. Bez względu na to, który z tych prądów się przyjmie, władza polityczna będzie musiała podjąć się zadania normowania i regulowania produkcji. W ustroju, w którym niedostateczność lub nieład w produkcji oznaczałby wojnę domową, władza zbiorowa, bez względu na to, jaką formę przybierze, nie będzie mogła uchylić się od konieczności oddania całokształtu produkcji pewnej koncepcji, pewnej organizacji, od poddania jej „planowaniu”.

W związku z tym pojawiają się inne zagadnienia, których także nie można pominąć. Stały postęp wiedzy i techniki pozwala produkować w czasie coraz krótszym coraz większą ilość bogactw. Postęp ten nie jest niczyją własnością.

cią jest on dziedzictwem bezimiennym, a więc wspólnym dobrem ludzkości, ponieważ jest wynikiem trudu całych pokoleń.

Kapitałizm burżuazyjny, niezdolny do obdzielenia tym nadmiarem bogactw masy konsumentów, pozbywa się go, korzystając z okresowych kryzysów i „systematycznych deflacji”. Postęp w jego ręku stał się okazją niewspółmiernego zysku dla kilku uprzywilejowanych lub kilku „szczęściarzy”, ale również przyczyną bezrobocia i nędzy dla ogromnej większości ludzi. Postęp jest własnością wszystkich trzeba więc będzie, chcąc nie chcąc, wyciągać zeń korzyści dla wszystkich. „Panowie sytuacji” wiele mówią o udziale każdego pracującego w korzyściach przedsiębiorstwa, które go zatrudnia, co nic nie znaczy; jest natomiast udział, który się należy masie pracującej, t.j. masie ludu i od którego nie można jej usunąć — udział w zyskach, wynikających z pracy całego społeczeństwa, polegający na otrzymywaniu przez każdego pracownika należnej mu części dywidendy, w formie dalszego wzmocnienia dobrobytu lub skrócenia pracy.

Skądinąd wzrost produkcji nie jest wyłącznie sprawą laboratoriów, maszyn — narzędzi, ani metod racjonalizacji. Aby osiągnąć możliwe maksimum produkcji, trzeba jeszcze, by każde stanowisko było obsadzone przez najodpowiedniejszego pracownika, a więc by każda jednostka była użyta do zadania, do którego przeznacza ją powołanie fizyczne lub duchowe — zasadniczym zadaniem organizacji pracy jest zatem wskazanie każdemu odpowiedniego dlań zawodu, a z tym łączy się potrzeba szkolenia zawodowego i selekcji.

Same więc potrzeby produkcji skierują demokrację jeszcze ku wprowadzeniu prawdziwej równości, to jest ku instytucjom, które uważam za ostateczny cel i wystarczającą przyczynę wszelkiego socjalizmu.

Prawdziwa równość nie zapoznaje nierówności naturalnych — bierze je pod uwagę i wykorzystuje. Polega zasadniczo na prawidłowym użyciu jednostki — właściwy człowiek musi się znaleźć na właściwym miejscu w społeczeństwie. Wszystkie zadania muszą być uznane za jednakowo szlachetne, bo są w pewnym sensie jednakowo pożyteczne.

Chętnie cytowano przykłady dowodzące, że w kapitalizmie burżuazyjnym przejście z jednej klasy społecznej do drugiej było możliwe — przesunięcia takie były jednak rzeczą przypadku, a nie wynikały z porządku rzeczy. Cudem było, jeśli robotnik doszedł do kapitalistycznego posiadania — tragedią, gdy inteligent cofał się do pracy rękodzielniczej. Demokracja jutrzejsza będzie musiała wyciągnąć z każdej jednostki to, co w niej najlepszego, zużytkowując jej wrodzone cechy bez względu na kastę, klan, rasę, lub majątek, charakteryzujący jej osobę, rodzinę lub przodków. Syn kowala, jeśli talent go do tego powoła, będzie mógł, tak jak dziś, być ministrem ludu lub odegrać rolę kierowniczą w przemyśle. Ale syn ministra lub wielkiego przemysłowca, jeśli okaże się jedynie zdolnym do kowadła — będzie kowalem.

Nie ma w tym nic nowego; tematy te propaganda socjalistyczna czy syndykalna rozwijała w kraju już przed wojną. W pewnym stadium rozwoju materialnego i badań naukowych te same zagadnienia zaprzatają wszystkie umysły. Ustrój, który się mieni rewolucją narodową, głosi także konieczność ich rozwiązania; zajmował się nimi również faszizm i « narodowy socjalizm ».

Ale nie przestanę powtarzać z całą stanowczością, że Francja jest zdecydowana znaleźć ich rozwiązanie własnymi środkami, zgodnymi z pojęciem demokracji. Demokracja

polityczna i demokracja społeczna to terminy — przynajmniej we Francji — nierozdzielne. Demokracja polityczna nie będzie zdolna do życia, jeśli nie rozwinie się w demokrację społeczną. Demokracja społeczna nie będzie ani rzeczywista ani trwała, jeśli nie oprze się na demokracji politycznej.

Naród francuski nie potrafi poświęcić jednych dla drugich, ani wielkich ideałów ludzkich, określonych w roku 1789, ani wielkich « nakazów », które wyłoniły się od tego czasu z materialnej rzeczywistości. Naród chce pogodzić porządek gospodarczy i równość społeczną z wolnością polityczną, obywatelską, osobistą. Zadanie trudne; jest jednak zdecydowany mu podolać i to własnymi siłami, drogą suwerenności, którą w ciężkiej walce zdobył i której nigdy nie da sobie odebrać. Nie przyjąłby nigdy gotowej organizacji z rąk władców, których sam nie wybrał i których nie uznaje. Domaga się sprawiedliwości, a nie prosi o łaskę. Wie zresztą, że sprawiedliwość byłaby mu wymierzona z góry, jako dobrodziejstwo przez rząd « instytucji dobroczynnych ». Stwierdza, że w innych krajach autokracje « narodowo-socjalistyczna » i faszystowska sprowadziły pracę do niewolnictwa maszynowego i nie zniosły przywilejów własności kapitalistycznej. W samej Francji dostrzega, że hasła, którymi starają się go olśnić, a których uczciwe stosowanie pociągnęłoby za sobą oczywiście zburzenie starej burżuazyjnej struktury, stały się bronią rękach przedstawicieli burżuazji, przekonanych o wyższości swej klasy, którym w gruncie rzeczy chodzi przede wszystkim o ratowanie siebie samych.

Suwerenność polityczna ludu i sprawiedliwość społeczna są to więc dwa pojęcia i dwa zadania nierozzerwalne. Stwo-

rzenie społecznej demokracji w pełnym tego słowa znaczeniu, nadzieja dnia wczorajszego, staje się koniecznym programem jutra.



Taki jest drugi punkt moich wniosków — a oto trzeci: podobnie jak demokracja polityczna we Francji nie byłaby zdolna do życia i trwała, gdyby się nie rozwinęła w demokrację społeczną, tym samym społeczna demokracja francuska nie będzie trwała i żywotna, jeśli nie włączy się w porządek europejski, a wyrażając się ściślej — ponieważ wojna obecna zmniejszy jeszcze bardziej rolę Europy w świecie — porządek ogólnoludzki, wszechświatowy. Warunkiem sine qua non pełnej demokracji jest demokracja społeczna, a warunkiem demokracji społecznej, w najwyższym tego słowa znaczeniu — internacjonalizm.

I w tym punkcie również trzeba będzie wysnuć wnioski potrzebne, wynikające z natury rzeczy. Wprowadzenie społecznej demokracji musi z natury swojej pociągać za sobą pewne gruntowne zmiany w prawnej zasadzie własności, a przynajmniej w warunkach bytu robotnika i w administracji gospodarczej. Otóż jasne jest, że zmiany tego rodzaju nie mogą być przeprowadzone bez zamieszek, bez szkody, a nawet ryzyka klęski w ciasnych ramach odosobnionego narodu. Gospodarka narodowa dopóki pozostaje dostępna prawom konkurencji i prądom wymiany, dopóki zachowuje charakter rynku i szuka zbytu — poddana jest środowisku, w którym bytuje; środowiskiem tym jest gospodarka światowa, mająca wspólne prawa i wspólne zwyczaje. Jeśli jakiś naród zbyt hardo odrzuci ów powszechny kodeks, każde wykroczenie narazi go na ciężkie sankcje w dziedzi-

nie handlowej, monetarnej, a w dalszych skutkach w dziedzinie politycznej.

Aby tego uniknąć, trzeba z konieczności, albo by przekształcający się naród zamknął wszystkie drogi, prowadzące na zewnątrz, przeciął normalny prąd konkurencji i wymiany, zamknął się w ramach despotycznej autarchii — jak to uczyniła Rosja sowiecka i Niemcy « narodowo-socjalistyczne » — lub też, by zgodził się być częścią całości i pomieścić działalność własną w działalności o charakterze wszechświatowym. Francja jest niechętna pierwszemu rozwiązaniu, będzie więc musiała wyżyć swoją wolę, by przeważało drugie.

Jeśli cofniemy się myślą o kilka lat, zdamy sobie sprawę, że rząd Frontu Ludowego, o kierownictwie socjalistycznym, utworzony w roku 1936, znalazł się wobec takich alternatyw, mimo że program jego nie obejmował przeistoczeń społecznych zbyt głębokich. Natknął się niewątpliwie na pewnego rodzaju polityczne zakłamanie, to znaczy, że — mimo pozorów — nie dzierżył całości legalnej władzy, której potężne elementy były jeszcze w rękach wrogiej burżuazji. Zasadnicza jednak trudność, niemal nie do rozwiązania, wynikała właśnie z faktu, że wprowadzał w kwestię robotniczą i w strukturę społeczną zmiany, które łatwo i pewnie mogły być dokonane jedynie w ramach czy to organizacji międzynarodowej, czy autarchii totalitarnej. Do współpracy międzynarodowej okoliczności niestety nie dojrzały.

Ach, gdyby przykład Francji, tak jak w 1789 roku, stał był się natchnieniem narodów... Gdyby danym nam było rozpaść całą Europę zaraźliwym entuzjazmem, który Michelet opisał z religijnym liryzmem. Lecz tym razem Europa była sceptyczna lub pełna sprzeciwu. Nigdy, od czasu

Traktatów Wersalskich nie była tak daleka od idealistycznego entuzjazmu, a co zatem idzie, od zjednoczenia: żadnej spójni, jedności przekonań, ufności. W złowrogim milczeniu gotująca się do nowych bitew, jakże mogła być skłonna do współpracy i solidarnej organizacji?

Druga ewentualność, to jest dyktatorskie uchwycenie w ręce gospodarki zamkniętej, z góry musiała być wykluczona przez rząd, który, zwalczając działalność typu faszystowskiego, postawił sobie jako jeden ze swych celów wznowić we Francji tradycje, uczucia i obyczaje demokratyczne. Rząd Frontu Ludowego stanął w ten sposób wobec sprzeczności wewnętrznej, która zresztą nie była niczym nowym, ani nieprzewidzianym dla jego przywódców i dla której, śmiem twierdzić, poświęcili oni siebie, aby uchronić kraj od krwawych zaburzeń.

Przypominam ten epizod jedynie dlatego, aby myśl moją jaśniej zarysować i umożliwić dokładniejsze przewidywanie przyszłości. Jutro, tak samo jak wczoraj, natkną się na podobne przeszkody. Jutro, tak samo jak wczoraj, wcielenie działalności narodowej w organizację międzynarodową, wyznaczenie jej miejsca w mechanizmie, obejmującym wszystkie składniki światowej gospodarki, które osiągnęły ten sam stopień rozwoju, będzie jedynym zadawalającym rozwiązaniem, jedynym w każdym razie, zgodnym z zasadami i instytucjami wolności.

Należy więc stwierdzić, że konieczną podstawą jakiegokolwiek demokracji społecznej we Francji jest dostatecznie ugruntowana struktura międzynarodowa. Bez tej podwaliny nie stworzy się jej, a gdyby się nawet cudem udało, niemożliwym będzie zapewnienie jej trwałości. Byłaby zdana na łaskę pierwszych lepszych zamieszek wojennych, które mogłyby znowu wstrząsnąć Europą. Zginęłaby z wszelką

pewnością, jak o tym świadczy historia ostatnich dwudziestu pięciu lat, bądź pod bezpośrednimi ciosami wojny, bądź pod naporem okoliczności, które wojnę poprzedzają lub jej towarzyszą. Nawet skutki zwycięstwa nie są pod tym względem wiele mniej niebezpieczne, niż następstwa klęski. A bez organizacji międzynarodowej dostatecznie silnej, jak usunąć na stałe fakt lub groźbę wojny, jak stworzyć ów całokształt złożonych uczuć, dających się ująć nazwą « bezpieczeństwo », z których jedynie zrodzić się może duch trwałej solidarności? Historia ostatnich dwudziestu pięciu lat uczy nas również, że natychmiast po wielkich światowych wstrząsach następować zwykła chwila rozsądku, kiedy takie realizacje są możliwe. Nie wolno tej chwili przeoczyć, bo mija szybko. Trzeba uchwycić ją w locie, uczepić się jej z natężeniem wiary i nadziei.

Bezpośrednio po wielkich wojnach cała ludzkość bywa spragniona, by katastrofa, z której wyszła poraniona, nie powtórzyła się nigdy więcej. Doświadczenie już nas nauczyło, jaką ceną płaci się za nieumiejętność nadania temu, niemal powszechnemu, pragnieniu konsystencji, a co za tym idzie, trwałości i skuteczności. Gdybyśmy raz jeszcze ten straszny błąd popełnili, potomność nie przebaczyłaby nam tego. Niech nasza decyzja i wola będą w pogotowiu.

Wojna, być może, niebawem się skończy. Skończy się niechybnie klęską, zgnieceniem państw Osi. Ale samo zwycięstwo nie wystarczy, by stworzyć warunki trwałego pokoju. Każdy pokój jest w mniejszym lub większym stopniu « dyktatem ». Nigdy nie solidaryzowałem się z przesadną surowością w ocenianiu autorów Traktatu Wersalskiego, bo nigdy, w żadnej historycznej chwili, przedstawiciele zwyciężskich potęg nie zdobyli się na podobny wysiłek oparcia na prawie nowego statutu, stworzonego przez siłę. A jednak

Traktat Wersalski pozostawił po sobie cały spadek błędów, niedorzeczności, krzywd, które zostały opłacone potokami krwi.

Nie wątpię, że twórcy przyszłego pokoju będą, w wyższym stopniu niż pełnomocnicy z Wersalu, przejęci poczuciem słuszności i wolą znalezienia niewzruszalnych podstaw pokoju w sprawiedliwości, a nawet w miłości człowieka. A jednak można przewidzieć, że i ten przyszły pokój nie będzie bez zarzutu, nie będzie doskonały, że i on także pozostawi po sobie cały splot trudności nierozwiązanych lub mogących się odnowić, krzywd nienaprawionych lub naprawionych za cenę nowych krzywd. Jak drzazgi tkwić w nim będą zobowiązania, powzięte podczas wojny i odpowiadające koniecznościom wojennym, a utrwalone przez zwycięstwo, rewindykacje, oparte na «status quo ante», na potrzebach strategicznych czy koniecznościach dostępu do morza, wszystkie zagmatwane zagadnienia rasowe i mniejszościowe, które Hitler załatwiał tak prosto: masowym morderstwem lub przymusowym przesiedleniem.

Jeśli duch wojny przetrwa, jeśli instytucje pokojowe nie okiełznają go lub nie wyplenią, przyszłe traktaty pokojowe pozostawią po sobie wiele powodów, nawet słusznych, do rewizji i odwetu. Nie uniknie się nowych prób rozstrzygnięcia przemocą zagadnień terytorialnych, jeśli samo pojęcie granicy powoli nie osłabnie, nie straci na obecnym znaczeniu przez dostatecznie ściśle włączenie narodów w międzynarodowy organizm, uprawniony zresztą do naprawiania zbyt rażących błędów i przystosowywania prawnego statutu do sytuacji faktycznych, które uległyby zbyt głębokim przeobrażeniom.

Z nieugiętym, niewzruszonym przekonaniem stwierdzić można: trzeba, by z tej wojny wyłoniły się wreszcie mię-

dzynarodowe instytucje, silne w swym założeniu, rządy międzynarodowe całkowicie skuteczne, inaczej i ta wojna nie byłaby ostatnią, a demokracja polityczna czy społeczna, narodowa czy międzynarodowa byłaby znowu narażona na rozpadnięcie się, tym razem może bezpowrotne.



Organizacja międzynarodowa, porządek europejski — hasła te są dziś na ustach wszystkich. Dyktatorzy totalitarni i ich świta nie wygłaszają ani jednego przemówienia, nie wydają ani jednego orędzia bez powołania się na porządek europejski. We Francji ludzie Zawieszenia Broni, jego teoretycy, politycy i apologeci nie przestają nam wykazywać, że zdradzili Francję z wierności dla Europy, a tym samym dla międzynarodowego socjalizmu. Czyż trzeba dodawać, z jakim wstrętem piętnuję to ohydne nadużywanie haseł, wykradzionych z naszego słownictwa? Kiedy Hitler i Goebbels mówią o organizowaniu Europy, kiedy « kolaboracjoniści » francuscy są ich echem — wiadomo, co przez to rozumieją i czego żądają. Ich porządek europejski nie jest niczym innym w rzeczywistości dzisiejszej, jak zużyciem wszystkich europejskich zasobów, czyli ich wyciśnięciem i wymuszeniem na rzecz wojny, którą prowadzą mocarstwa Osi, a ich organizacja Europy niczym innym w rzeczywistości jutrzejszej, jak całkowitym jej poddaniem panowaniu Hitlera.

Doszło więc do tego, że te same słowa oznaczają pojęcia wręcz przeciwne. Kiedy my mówimy: « porządek europejski » — myślimy o pokoju, a nie o wojnie, kiedy mówimy « organizacja europejska » — myślimy nie o wspólnym jarzmie pod tyrańską hegemonią, ale o federacji równouprawnionych, wolnych narodów, o Lidze Narodów.

Przyznajmy, że to hasło 1919 roku było piękne. Przyznajmy, nie zrażając się zbyt banalnymi drwinami, że dziś trzeba powrócić do tego samego natchnienia.

Liga Narodów, której pomysł z końcem poprzedniej wojny powstał w umysłach wszystkich wielkich demokratów obu półkuli jednocześnie, była koncepcją wielkoduszną i wspaniałą. Tak twierdzą, mimo że doznała ona niepowodzenia, którego nie myślę zacierać. Twierdzą nadal, mimo tego niepowodzenia, że sam fakt jej powstania jest wystarczającym powodem szacunku dla zrzeczeń politycznych, w łonie których została poczęta. Dodają, że z jej niepowodzenia, które było doświadczeniem, świat jutrzejszy będzie musiał wyciągnąć naukę. Powody załamania się Ligi Narodów, ustanowionej przez Traktat Wersalski, to najpierw brak udziału w niej, od chwili powstania, nieodzownych wielkich mocarstw, jak Rosja i Stany Zjednoczone, dalej, pewna nieśmiałość jej twórców, którzy — by uspokoić różne uprzedzenia i obawy — nie odważyli się zaopatrzyć jej w środki i w żywotne siły, jakich wymagało jej funkcjonowanie. Wskutek tego nie stała się wielką suwerennością, różną od narodowych suwerenności i górującą nad nimi, nie posiadając ani władzy politycznej, ani siły materialnej, przewyższającej siły poszczególnych państw, by móc je zmusić do podporządkowania się decyzjom powszechnym; wreszcie jej ograniczone uprawnienia i przerywane okresy pracy nie pozwalały jej rozwinąć się w organizm obejmujący wszystkie dziedziny działalności narodowych.

Każdy z tych punktów z łatwością można by poprzeć argumentami i faktami. Znalezienie przeciwwagi dla każdego z nich da nam zasady, których wprowadzenie pozwoli nam stworzyć tym razem międzynarodowy organizm żywotny i skuteczny.

Trzeba, aby wszystkie wielkie mocarstwa, w pierwszym rzędzie Rosja i Stany Zjednoczone, uczestniczyły w nowym pakcie. Trzeba, by organizm międzynarodowy był wyposażony w siłę i środki, które pozwolą mu działać skutecznie, to znaczy, by został uznany wyraźnie i bez wahań za państwo najwyższe, górujące nad suwerennościami narodowymi. Każdy z narodów, wchodzących w jego skład musiałby się zatem z góry zgodzić na ograniczenie i podporządkowanie własnej suwerenności, w miarę jak tego wymagałaby suwerenność wyższego rzędu.

Trzeba, aby organizm międzynarodowy był w stanie narzucić wykonanie swoich orzeczeń narodom opornym, co wysuwa konieczność bądź zapewnienia mu przewagi zbrojnej, bądź monopolu posiadania pewnych rodzajów broni, np. samolotów, bądź rozbrojenia każdego z poszczególnych państw w stopniu wystarczającym. Trzeba, aby zamiast być rządzone przez konferencję delegatów, z których każdy podlega interesom i instrukcjom państwa przez się reprezentowanego, nad-państwo posiadało własne instytucje i odrębne kierownictwo.

Trzeba, by złożoność jego zakresu działania zapewniła mu ciągle, nieprzerywane funkcjonowanie, bo prawdziwa społeczność międzynarodowa jest czymś więcej, niż trybunałem arbitrów czy punktem zbornym dyplomatów. Musi stworzyć porządek, jeśli chce zachować pokój. Otóż stworzenie tego porządku wymaga akcji nieprzerwanej, a konflikty i kryzysy ekonomiczne są dla niego równie groźne jak zatargi polityczne.

Założyciele Ligi Narodów zdawali sobie sprawę z tej konieczności, skoro obok niej i na tym samym poziomie stworzyli instytucję uzupełniającą, zwaną Międzynarodowym Biurem Pracy; lecz Biuro to posiadało jeszcze szczy-

plejszą władzę stanowiącą i wykonawczą, niż sama Liga. Przyszły organizm międzynarodowy będzie zatem musiał, osiągnąwszy autorytet, zmuszający do posłuchu, przemyśleć i rozstrzygać wszystkie zagadnienia pracy, które, jak to już wykazałem, nie dadzą się rozwiązać w ramach poszczególnych narodów. Wyposażony we władzę ustawodawczą i decydującą, będzie musiał ująć w ręce te ważne zagadnienia rynków zbytu, surowców, wychodźstwa, które są tak niebezpieczne, bo znajdują się na pograniczu ekonomii i polityki.

Zadaniem jego będzie regulowanie zagadnień celnych, zapobieganie ogólnemu kryzysowi monetarnemu, być może przez ustanowienie międzynarodowej monety. Będzie musiał mieć możność przedsięwzięcia wielkich prac użyteczności międzynarodowej, w zakresie zdrowia publicznego, wyposażenia przemysłowego, środków transportu, kolonizacji w najszerszym tego słowa znaczeniu — i tym sposobem podniesienia stopniowo wszystkich narodów do jednego poziomu cywilizacji.

W tym celu będzie musiał być uprawniony do zaciągania pożyczek, zaopatrzony w budżet, pokrywany już nie przez dowolne i niechętnie datki państw stowarzyszonych, lecz przez niewielkie opodatkowanie pewnych artykułów codziennego użytku lub przez monopol na jakieś usługi międzynarodowe.

Socjaliści, zgromadzeni na krótko po poprzedniej wojnie we Frankfurcie, celem wspólnego rozważenia zagadnienia odszkodowań, zgodzili się na plan w takiej skali. Byli między nimi przedstawiciele wszystkich narodów, które wzięły udział w wojnie, że wymienię tylko wśród nieżyjących, Matteotti'ego, którego zamordował Mussolini, i Hilferdinga, wydanego przez rząd francuski Hitlerowi.



Każdy z wyżej poruszonych tematów można by rozwinąć i uzasadnić doświadczeniami, których dostarcza w dobie obecnej historia świata. Ale jeśli chce się naprawdę wykazać kruchość i niepewność pokoju, gdyby nie był oparty na mocnym międzynarodowym fundamencie, wystarczy wmyśleć się w zagadnienie rosyjskie i niemieckie. Hitler będzie pobity i jego los osobisty jest bez znaczenia, ale na jutro po jego klęsce i zapadnięciu się w nicość, co zwycięzcy zrobią z Niemcami? Staną wobec dylematu, który na płaszczyźnie Europy obecnej, to znaczy absolutnych suwerenności narodowych, jest nie do rozwiązania. Z jednej strony powszechne pragnienie, podsycane jadłem nienawiści i żądzą zemsty, którymi Hitler napoił cały świat, domagać się będzie, by Niemcom uniemożliwić wszczynanie raz jeszcze potwornych awantur. Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że nie będzie się rozróżniało tyrana, który sfanatyzował swój naród, od narodu, który z okrucieństwem służył tyranowi. Pokój zostanie okrzyczany, jako zakłamana, krwawa komedia, jeśli nie uchroni świata raz na zawsze przed możliwością nowego ataku barbarzyństwa germańskiego.

To wszystko jest zrozumiałe i naturalne. Otóż na terenie dotychczasowym, na płaszczyźnie suwerenności narodowych do czego muszą doprowadzić te słuszne i naturalne wymagania, jak nie do systemu parcelacji, rozbiorów, aneksji, zakazów i haraczy? Opinia niewątpliwie domagać się będzie tego systemu, a najgłośniej będą krzyczeli niektórzy z « kolaboracjonistów » obecnych.

Z drugiej strony jednak, jeśli ludzie, którym przypadnie w udziale ciężar przywrócenia pokoju, będą mieli odwagę myśleć i pamiętać, to czyż będą mogli stracić z oczu przy-

szłość, grożącą światu w razie, gdyby swój statut oparli na użyciu i nadużyciu siły. Gwałt nie ugasi gwałtu, nienawiść — nienawiści. Nie zgładzi się z powierzchni ziemi ludu, języka, tradycji, legendy. Nadużycie siły stwarza żądzę odwetu; czas jej nie uspokoi, a nieprzewidziane wydarzenia historii stworzą dla niej prędzej czy później nieprzewidziane możliwości.

Jakkolwiek twarde warunki podyktuje się Niemcom hitlerowskim, nie będą one mogły być brutalniejsze od tych, które narzucono Prusom po Jenie. Któż byłby przewidział, że po takich klęskach, takich ranach, Prusy odzyskają swą siłę? A jednak zaledwie kilka lat dzieli Jenę od Lipska, kilkadziesiąt lat Tylżę od Sedanu.

Istnieje zatem jeden tylko sposób rozwiązania dylematu: podporządkowanie unieszkodliwionych Niemiec pokojowemu i gwarantującemu bezpieczeństwo statutowi europejskiemu, wcielenie narodu niemieckiego w międzynarodową społeczność, dosyć potężną, by mogła go wychować, zdyscyplinować, a w razie potrzeby, ujarzmić. Gdyby użycie siły okazało się konieczne, by Niemcy zmusić do tej inkorporacji, wtenczas stałoby się prawomocne i zbawienne, jak ojcowskie napomnienie. Taka siła byłaby służbą sprawiedliwości i pokoju. W takich warunkach czas i przyzwyczajenie oddziaływałyby w kierunku przystosowania i koordynacji, a w następstwie — uspokojenia i pojednania.

To, co powiedziałem o Niemcach, odnosi się w dużej mierze i do Rosji, choć z przyczyn innego rodzaju. Zagadnienie rosyjskie, niewiadoma rosyjska przytłacza już dzisiaj osobliwym ciężarem pojęcie, a powiem że nawet nadzieję pokoju. Zaznaczyłem już, że w pewnej liczbie państw, a w pierwszym rządzie we Francji, nie byłoby możliwości utrzymania prawidłowego funkcjonowania rządu, gdyby część

klasy robotniczej pozostała w stosunku pośredniej lub bezpośredniej zależności od ościennego władcy. Tak samo okaże się niemożliwym w praktyce utrzymanie trwałego pokoju wśród ogółu narodów Europy i świata, jeśli ewentualność rewolucji przygotowywanej, montowanej i kierowanej przez obce państwo, będzie w dalszym ciągu zakłócało spokój każdego z nich. Jeśli się nie przezwycięży tak poważnej trudności, jakaż przyszłość czeka demokrację i pokój?

Nie wierzę osobiście, by trudność ta została usunięta przez istotne przemiany w ustroju sowieckim; mrzonką jest oczekiwać jakiegoś porozumienia pomiędzy Rosją a innymi państwami, które sprowadziłoby je do wspólnego mianownika. Rosja zachowa z pewnością wszystkie wewnętrzne cechy, które czynią ją zbyt odmienną; nie zmieni, by się upodobnić do reszty świata, ani swego systemu rządzenia, ani systemu własności.

Wierzę natomiast, że jej sposób życia na zewnątrz, jej zachowanie wobec innych mocarstw ulegnie gruntownej poprawie pod podwójnym wpływem: walki, która rozślawiła jej bohaterstwo, a później zwycięstwa, które umocni i uświęci jej potęgę. Wyjdzie z tej próby wolna od zaburzeń okresu dojrzewania, które nią wstrząsały od dwudziestu pięciu lat ufna w swą siłę, większa i uspokojona, a co za tym idzie, zdolna zdobyć się na nieodzowny wysiłek wzięcia udziału w życiu międzynarodowym, bez prowokowania w nim niebezpiecznych rozdźwięków.

Czego wolno od niej oczekiwać? Aby zaniechała wprowadzania ciał obcych w strukturę poszczególnych narodów i aby sama przestała wśród nich odgrywać rolę ciała obcego, prowokacyjnie zrywającego z tradycyjnymi pojęciami moralności i ludzkości. Konkordat może i powinien unormować warunki współżycia pod tym względem, a dla ustale-

nia jego klauzul, dla dopilnowania, by był wprowadzony w życie, byłoby znowu potrzebne wstawiennictwo i nacisk instytucji międzynarodowej, której Rosja stałaby się członkiem.

Używam terminu « konkordat » z pewnym wahaniem, gdyż nie chciałbym dotknąć niczyjej wrażliwości przez skojarzenie, jakie ta nazwa nasuwa, ale jeśli się zastanowić nad tym bez uprzedzeń, to przecież chodzi właśnie o określenie stosunku państwa do kościoła doczesnego, przez rozgraniczenie zakresów działania wiary shierarchizowanej i suwerenności narodowych.

Wierzę, że Rosja, mimo że pozostanie sowiecką, pójdzie na układ, tak wyraźnie zgodny z jej interesami. Nie będzie mogła, ani chciała odciąć się od mocarstw anglosaskich, bez pomocy których nie mogłaby odeprzeć napaści hitlerowskiej i których dalszej pomocy będzie potrzebowała dla odbudowy zrujnowanej gospodarki. Włączenie we wspólnotę międzynarodową będzie dla państwa sowieckiego momentem tego równouprawniającego uznania bez zastrzeżeń i niedopowiedzeń, którego dotychczas naprawdę nie osiągnęło ze strony żadnego z państw — nawet tych, które z nim pertraktowały i paktowały. Rosja wreszcie nie zechce, by w oczach światowego proletariatu ktokolwiek prześcignął ją przy ustalaniu pokoju, za którego widoczną oznakę i najpewniejszą rękojmię będzie uważany poryw ku międzynarodowej organizacji. Dodam jeszcze krótko, że w tym leży dla niej jedyny sposób wyrównania odpowiedzialności historycznej, która na niej ciąży. Gdyby jej odmowa uczestnictwa lub nieustępliwość stała się przeszkodą w zorganizowaniu stałego pokoju, przekreśliłaby tym samym olbrzymią usługę, którą oddała ludzkości swym bohaterstwem stanęłaby wobec świata cywilizowanego w tej samej pozycji,

co w sierpniu 1939 roku, nazajutrz po zbrodniczym błędzie, którego samo wspomnienie należałoby zatrzeć.



Logika rozumowania i skojarzenia wyobrażeń skłaniałyby mnie do rozważania na tym miejscu, jak dalece wskazaną byłaby w łonie organizacji międzynarodowej, jeszcze jedna obecność. Mam na myśli Stolicę Apostolską. Jej udział z tego samego tytułu, co udział państw, byłby olśniewającą oznaką, że świat jutrzejszy nie tylko z ziemskimi potęgami będzie się liczył. Aktywna współpraca Rzymu pozwoliłaby przenieść na wyższy poziom i regulować za pomocą powszechnych « konkordatów » wszelkie spory z państwami, które w swoich ramach narodowych paczą życie polityczne, co prowadzi do nieznosnych konfliktów.

Byłoby to oczywiście rolę odpowiednią dla Kościoła, który jest pacyfistyczny ze swojej istoty, gdyż ucieleśnia religię pokoju i który jest tak w swej działalności, jak i w swym ustroju ma charakter międzynarodowy. Wpływ papieństw zawsze działał i nadal działa na rzecz pokoju organicznego, opartego na sprawiedliwości, na równości narodów i ludzi, na świętości umów. Pierwsze przemówienie papieża Piusa XI po ugodach laterańskich, ogłoszone z krużganku bazyliki św. Piotra, było gorącym wezwaniem do pokoju.

Pokój jest potrzebny Kościołowi, a nie ulega wątpliwości że pomoc Kościoła byłaby nieskończenie korzystna dla dzieła organizacji pokojowej. Ale jeśli Kościół katolicki jest scentralizowaną i ogólno-światową hierarchią na obszarach, które objęłaby organizacja międzynarodowa, to religia katolicka nie jest jedyną religią, wyznawaną przez masy. Należałoby zatem uznać zasadę równości między religiami,

tak jak między państwami i zwrócić się do wszystkich wyznań z tym samym wezwaniem.

Ustalenie sposobu ich reprezentacji nasuwałoby pewne trudności, gdyż inne wyznania nie są zorganizowane, jak Kościół rzymski hierarchicznie, na wzór imperium, ale choć wierzę, że trudności tego rodzaju dadzą się usunąć, jest się zmuszonym rozumowo przewidywać, że przeszkodę nie do przewyciężenia wzniesie sam Kościół. Niewątpliwie okaże on organizacji międzynarodowej najgorętszą i najofiarniejszą sympatię; jest jednak prawdopodobne, że nie weźmie w niej udziału, że nie zaangażuje się, nie zobowiąże. Czyż mógłby zgodzić się na równouprawnienie lub choćby uznanie innych wyznań, skoro uważa je za heretyckie i niewierne? Czy mógłby wyrazić zgodę na rodzaj podziału wiary powszechnej, skoro objawiona obietnica wyznaczyła mu jako cel zdobycie wszystkich dusz, a abdykując z tego posłannictwa, nie spełniłby roli wybrańca Bożego? Czy mógłby zgodzić się na supremację jakiegoś nad-państwa, podporządkować mu częściowo własną suwerenność, skoro we własnych oczach z samego faktu jego istnienia wynika jego nadrzędność? Czy mógłby, jednym słowem, dzielić odpowiedzialność za międzynarodowy porządek, którego reguły nie byłyby wynikiem jego wyłącznych wskazań?

Jeśli od zasad przejdziemy do praktyki, jeśli zważymy, że bieżącym zadaniem społeczności międzynarodowej będzie rozstrzyganie zatargów, wydawanie orzeczeń, ustanawianie i, być może, wymierzanie sankcji, czyż Kościół mógłby, nawet jako członek społeczności, brać stronę jednego państwa przeciw drugiemu, czyli jednych spośród swych wierznych przeciwko drugim? Nie uczynił tego podczas wojny poprzedniej, ani w ciągu wojny obecnej. Jakże mógłby się na to zgodzić w czasie pokoju?

Rozważając stanowisko Sowietów, wyraziłem przypuszczenie, że bieżące interesy państwa rosyjskiego wezmą górę nad bezkompromisowością doktryny komunistycznej; nie mogę tego przypuszczać myśląc o papieństwie, które sta-
nęło już ponad sprawami doczesnymi. Papież XVI-go wie-
ku, utrzymujący armię, biorący udział w koalicjach, pro-
wadzący wojny, byłby się może zawahał pomiędzy jakimiś
nagłymi potrzebami państwowymi papieństwa, a nienaru-
szalnością dogmatów. Ale papieństwo dzisiejsze nie ma po-
wodu skłaniać się ku tym transakcjom. Jest siłą czysto du-
chową. I dlatego właśnie obecność jego w społeczeństwie
międzynarodowym wydaje mi się tak bardzo pożądana i
dlatego również nie śmiem wierzyć, by była osiągalna.

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy tak rozwijam perspektywy związku międzynarodowego, obejmującego władzę nad światem dnia jutrzejszego, wiem dobrze, że narażam się nie tylko owemu lekkiemu sceptycyzmowi, który w rzeczywistości jest łatwowierny i którego nie ma powodu brać na serio, ale wnoszę niepokój również w uczucia słuszne i zasługujące na szacunek.

Mam na myśli patriotyzm, coraz żywszy i wrażliwszy po klęsce, a skutkiem tego coraz bardziej nieufny i zawistny. Słyszę jego wołanie: « Jakto! Francja nie podniosła się jeszcze z ruin, rany jej jeszcze się nie zabiły, a już niepokoisz się o Europę i wszechświat. Znowu apelujesz do tej czułości humanitarnej, przez którą tyle wycierpieliśmy, i to w chwili, kiedy obowiązek narodowy narzuca nam wyraźnie, kategoryczne i wyłączone wskazanie. O nie! Francja przede wszystkim, Francja ponad wszystko! Jedyną, szansą zbawienia dla Francji jest egoistyczna miłość jej dzieci... »

Prawdą jest, że w nieszczęściach ojczyzny wyraźniej i mocniej uświadamiamy sobie, jak bardzo kochaliśmy ją, nie raz bezwiednie. Prawdą jest, że historia ostatnich lat po-

winna nas nauczyć zachowania uczucia patriotycznego w całej jego naturalnej mocy i godności. Ale wykazując, że Europa i świat jutrzejszy będą musiały zorganizować się pod groźbą chaosu i dalszych wojen w ramach szerszych, niż ramy narodowe, nie wysuwam żadnych twierdzeń, które mogłyby obrażać, ranić lub ograniczać uczucia narodowe. Nie proponuję dymisji patriotyzmu, usunięcia się, ustąpienia; nie uważam go za przestarzały instynkt, który zrobił swoje i nie odpowiada już aspiracjom współczesnej inteligencji. Nie uważam bynajmniej, że patriotyzm powinien być wchłonięty przez uczucia bardziej ogólne czy podniosłe — jak wiara w solidarność ludzką lub miłość ludzkości, — a następnie roztopić się w nich.

Miłość ojczyzny jest wieczna, tak jak miłość rodziny, miłość ziemi rodzinnej, jak wszelkie więzy, które splatają duszę z najbliższą i najdroższą rzeczywistością. Ale jestem najzupełniej przekonany, że patriotyzm i humanizm, czyli miłość ojczyzny narodowej i międzynarodowej, są uczuciami dającymi się w istocie swojej pogodzić. Przywiązanie do narodu i miłość rodzaju ludzkiego mogą wypełniać świadomość jednocześnie, równie po prostu jak patriotyzm i miłość rodzinna, jak patriotyzm i wierzenia religijne.

Najlepszy tego dowód dali żołnierze i obywatele Wielkiej Rewolucji. Nie tylko ich marzeniem, lecz wolą pozytywną i przemyślaną było tworzenie olbrzymiego społeczeństwa ludzkiego, na zasadach wszechświatowego porządku — mimo to patriotyzm nigdy nie przejawiał się z większym żarem, nigdy ziemi ojczystej nie broniono z tak bohaterską zaciętością.

Łatwo to zrozumieć — wszak nienaruszalną podwaliną każdej międzynarodowej konstrukcji są ludy wolne, narody niezależne. Pierwszym zadaniem wspólnoty międzynarodo-

wej jest obrona wolności i niezależności poszczególnych narodów, które w jej skład wchodzi.

Narody zrzeszają się i zorganizują w społeczność, pozostając jednak tym, czym są, czym uczyniła każdy z nich historia i tradycja, zachowując swoją istotę, upodobania, temperament i odrębność charakteru. Cechy narodowe, czynnik niezbędny harmonii ludzkiej, będą nie tylko szanowane, ale cenione w łonie międzynarodowej organizacji, tak samo, jak właściwości indywidualne w organizacjach społecznych. Ani pod względem narodowym, ani indywidualnym celem zespolenia nie jest jakieś oficjalne, przymusowe zacieranie różnic.

Kiedy myślę o przyszłej Lidze Narodów nasuwa mi się uparcie wiersz Wiktora Hugo: widzę je siedzące « jak siostry dokoła kominka » — naokoło wspólnego ogniska Sprawiedliwości i Pokoju, siostrzane, zrodzone z tej samej krwi, lecz różne ubiorem, gestem, akcentem, wyrazem twarzy. Jaurés powiedział kiedyś, że trochę międzynarodowości być może ostudza patriotyzm, lecz dużo międzynarodowości rozpłomienia go. Głęboki sens jego słów rozumiem w ten sposób: cechy właściwe poszczególnych narodów rozwiną się naprawdę swobodnie i owocnie, gdy solidarność międzynarodowa stworzy oddychalną atmosferę trwałego pokoju. Wówczas też człowiek będzie mógł uświadomić sobie charakter swego narodu, przejąć się nim do głębi.

Dodaję z dumą, że to szarmonizowanie patriotyzmu i humanizmu jest bardziej naturalne i proste u Francuza, niż u każdego innego obywatela kuli ziemskiej, bo temperament francuski — jak już wspominałem — rozumie zawsze i dotychczas odczuwa szlachetną potrzebę myślenia i działania dla spraw powszechnego znaczenia.

Między miłością narodu i ludzkości mogą oczywiście

zachodzić konflikty wewnętrzne, których nie da się całkowicie uniknąć — tak jak i w życiu osobistym nie łatwo wprowadzić ład i ustalić odpowiadającą okolicznościom hierarchię rozlicznych uczuć człowieka. Ale wysiłek dobrej woli i rozsądku powinien zawsze doprowadzić do pogodzenia rozbieżności, a wysiłek ten będzie najczęściej polegał na oczyszczeniu bądź patriotyzmu, bądź humanizmu z naturalnych skaz, które je paczą.

Przetrwał w nas bowiem dawny, jak dzieje ludzkości, instynkt podobny temu, który spajał plemiona pierwotne: « duch szczepu i klanu ». Instynkt ten pcha nas do rezygnowania z wszelkiej zdolności zastanawiania się lub sądu krytycznego, do potępiania ich niemal, kiedy chodzi o stosunek naszego kraju do innych: « Czemu szukać daleko; mój kraj nie może nie mieć racji, bo jest moim krajem » — i dalej: « mojemu krajowi należy się zatem pierwszeństwo w świecie ». Jest rzeczą mylną nazywać ten instynkt patriotyzmem, odpowiadają mu jedynie ujemne nazwy szowinizmu lub nacjonalizmu. Rodzi on pychę i nienawiść, nosi w sobie zarodki wojny, bo nie jest cechą jednego wyłącznie kraju; kiedy się w naszym panoszy — i w innych się szerzy, a walki, które wznieca między narodami, wykluczają możliwość zgody, a co gorsza — pogodzenia się.

Istnieje natomiast uczucie, nieporównanie młodsze, bo rozwinęło się dopiero pod wpływem pewnej propagandy rewolucyjnej, które usiłuje przeciwważyć szowinizm, t. j. zrzec się z góry, zasadniczo, pozycji interesów narodowych w każdym sporze zewnętrznym: „Mój kraj nie ma racji, bo jest moim krajem”. Ludzie tak nastawieni odcinają się od narodowej społeczności, w której szowiniści ślepo zasklepiają się. Lecz błędem byłoby określić to stanowisko mianem internacjonalizmu; jest to odwrócony szowinizm.

Chcąc rozróżnić prawdziwy patriotyzm i prawdziwy internacjonalizm, od patriotyzmu i internacjonalizmu wypaczonego, oprzyjmy się na fakcie, że oba uczucia, właściwie pojęte, nie tylko nie wykluczają się wzajemnie, lecz niemal się zbiegają. Prawdziwy patriotyzm i internacjonalizm istnieją tam gdzie istnieje prawdziwa wola podporządkowania stosunków między narodami i wszystkich związanych z tym zagadnień, wspólnym kryteriom rozumu i sumienia oraz sądzenia ich z bezstronnością, wprawdzie nie absolutną, bo ta przekracza możliwość przyrodzoną, ale z absolutną intencją bezstronności. Przemyślenie ich w takim duchu łatwo przekona ludzi dobrej woli, że w obecnym stanie rozwoju ludzkości, wolność i dobrobyt jednego narodu są już nierozzerwalnie związane z wolnością i dobrobytem innych narodów, z drugiej strony miłość ojczyzny spłótła się już uczuciowo i rozumowo z pewnymi wierzeniami o wartości ogólnoludzkiej.



Podwaliny nowego świata muszą więc być odpowiednio shierarchizowane. Demokracja polityczna narodu jest uzasadniona jego demokracją społeczną i z niej czerpie swą moc. Demokracje narodowe stanowią z kolei podporę porządku międzynarodowego, który je wieńczy i utrzymuje w równowadze. Kiedy ludzkość zostanie uwolniona przez wojnę od ostatnich ukąszeń barbarzyństwa i despotyzmu, wijących się w przedśmiertnych konwulsjach — na tym wyzwoleniu będzie polegał sens i efekt zwycięstwa aliantów — będzie zmuszona oprzeć swoje wysiłki na zasadach takiego to porządku.

W ten sposób rozumiem Kartę Atlantycką, podpisaną przez Roosevelta i Churchilla w imieniu obydwóch potęg

anglosaskich i przyjętą bez zastrzeżeń przez wszystkie państwa sprzymierzone. Triumf wolności i sprawiedliwości, osiągnięty przez wojnę, musi oczywiście pociągnąć za sobą zorganizowanie wolności i sprawiedliwości pokoju, który po niej nastąpi. Nie widzę zresztą na jakiej innej drodze świat mógłby szukać pokrycia swych natychmiastowych potrzeb i gwarancji przyszłości.

Zastanawiałem się dokładnie, czy mój pogląd nie grzeszy zbyt dużym zaufaniem do prawidłowości historycznych rozwiązań i czy nie uległem błędowi, częstemu u ludzi, którzy byli wmieszani w wielkie sprawy i z czasem tracą zdolność znajdowania form innych dla kształtowania teraźniejszości i przyszłości, niż formy, które kształtowały przeszłość.

Przyznaję, że ten rzut oka na przyszłość świata nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak nawrotem ku dawnym koncepcjom sprzed dwudziestu pięciu lat. Wszystko czego pragnę, wszystko co zwiastuję jako powojenne jutro wojny dzisiejszej, odtwarza nadzieje, jakie ludzie w moim wieku żywili po Traktacie Wersalskim i których nie potrafili zrealizować. Nie ma nic nowego pod słońcem — wiem o tym. Rozwiązania nie mogą ulec istotnej zmianie, gdy się zagadnienia istotnie nie zmieniły, a jedno pokolenie nie zmienia dowolnie problemów, wobec których stawia je historia.

Jest prawdą skądinąd, że założeniem postępu, którego drogę szkicuję, jest praca spokojna, pełne dobrej woli porozumienie narodów, zbliżenie, które już samo przez się stanowi unię — zdaję też sobie sprawę, że liczne umysły zgola odmiennie przedstawiają sobie rzeczywistość jutrzejszą.

Mogą powiedzieć: „Jakże ten piękny układ klasycznej

konstrukcji będzie mógł wyrosnąć na gruncie, którym wstrząsną rozruchy ludowe, gdy tylko pokój umożliwi wybuch długo stłoczonych sił. Kiedyś ludzkość niezawodnie odkryje swój porządek istotny, lecz nastąpi to po okresie nieuniknionego rozdarcia i chaosu; nie doprowadzi jej do tego celu spokojna, przemyślana wola narodów; zbyt wiele przeszły nędzy i cierpienia, zbyt wiele zrozumiałego gniewu nagromadziło się w sercach, by uspokoić je mogła pogodna kontemplacja ideałów. A przy tym, czy można nie brać pod uwagę siły przyciągania Sowietów, naturalnego prestiżu potęgi, która wprawdzie nie będzie jedynym zwycięzcą, która jednak pierwsza potrafiła zaszachować militarną siłę Niemiec? Liczyć się trzeba z wysiłkami propagandy i organizowania podejmowanymi — mimo niebezpieczeństwa — przez partie komunistyczne w każdym z okupowanych krajów. Europa jutrzejsza nie uniknie rewolucyjnego kryzysu i z tego kryzysu dopiero środkami, jak on sam, rewolucyjnymi będą mogły wyłonić się instytucje sprawiedliwości wśród ludzi — pokoju wśród narodów’.

Oto ewentualność historyczna i byłoby błędem przemilczeć ją w moim wywodzie. Rozumiem to przewidywanie, nie podzielam go jednak.

Nie przypuszczam wcale, by wojna, szczególnie wojna długotrwała, stała się okazją do rewolucji, wywołała moment jej wybuchu u narodów zwycięskich, a nawet zwyciężonych. Dwadzieścia trzy lata temu, w roku 1918, nie bardzo już wierzyłem w istnienie jakiegoś mechanicznego związku między chwilą zakończenia wojny a chwilą wybuchu rewolucji. Dzisiaj stanowczo mu przeczę. Nie iżby wiek osłabił we mnie wiarę w rewolucję. Czemu zresztą wyznanie wiary rewolucyjnej miałoby być komukolwiek

przykre w epoce, kiedy słowo „rewolucja” wywiesza się wszędzie, kiedy nawet najbezczelniejsza kontrrewolucja nim się afiszuje?

Zdaje sobie jednak coraz jaśniej sprawę z tego, że istota wszelkiej rewolucji tkwi w naturze celu, jaki sobie stawia i w wyniku, jaki osiąga — nie zaś w naturze środków działania, które obiera. Każda głęboka przemiana w strukturze politycznej, a bardziej jeszcze w układzie posiadania i produkcji, byleby została dokonana w sposób, przyspieszający normalny, ewolucyjny bieg rzeczy — jest przemianą rewolucyjną, choćby dokonano jej najbardziej legalnymi, pokojowymi środkami. Gwałtowna insurekcja natomiast, dorwanie się do władzy przemocą, terror nawet, byłyby to tylko rewolucyjne zakusy, które by spaliły na panewce, gdyby nie doprowadziły do przemiany politycznej lub społecznej o trwałym charakterze.

Otóż wojna może, w pewnych wypadkach, tworzyć warunki sprzyjające insurekcji i zdobyciu władzy, ale nie rewolucyjnej przemianie. Ten wzgląd dodać należy do wyliczonych poprzednio, powodujących, że nie obawiam się, aby w najbliższej przyszłości po zwycięstwie aliantów, propaganda komunistyczna we Francji miała przybrać formę podburzania do krwawej rewolucji.

Uczucia zbiorowe, które się wówczas w całej Europie najsilniej, najkategoryczniej zaznaczą, będą zapewne znacznie prostszej natury niż się to na ogół przypuszcza. Ludzie wszędzie są ludźmi i spragnieni będą przede wszystkim zaspokojenia tych elementarnych potrzeb ludzkich, materialnych, uczuciowych, intelektualnych nawet, których zaspokojenie wojna przerywa, nie przekreślając ich istnienia i którym zaprzestanie wojny zdaje się zapewniać natychmiastowe zadośćuczynienie. Człowiek chce zoba-

czyć dzieci, których był pozbawiony, dom, z którego go wygnano. Był głodny — pragnie być syty. Był zakuty w kajdany, przemoc wszelkiego rodzaju knebłowała mu usta — chce wreszcie zakosztować wolności, móc mówić, co myśli. Przez długie miesiące i lata uczestniczył w „bezsenności świata” — chce zażyć wypoczynku i spokoju.

Oto zasadnicze uczucia, które wyłonią się szybko z piany rewindykacji, gniewu, żądzy odwetu. Naprawdę jedyną zbiorową potrzebą, którą długa wojna może rozpałić w potęgę rewolucyjnej namiętności, jest po prostu potrzeba pokoju — ją to komunizm w Rosji i poza Rosją eksploatował tak skuecznie w czasie poprzedniej wojny. Ją prowodyrzy rewolucji narodowej starali się podniecać i obracać na swój użytek przed i po zawieszeniu broni wojny obecnej. Ta potrzeba istnieje i dalej trwać będzie przez pewien czas po zwycięstwie. Ludzie znękani, wyczerpani wojną, będą chcieli, jak w roku 1918, aby ofiara ich przyniosła pożytek przynajmniej ich dzieciom i najistotniejszym zadaniem tych wszystkich, którzy mają wpływ na ogół, będzie wykorzystać krótkie z pewnością trwanie tej woli pokoju, skupić ją w zapał owocny, utrwalić, nie dać jej wyczerpać się w bezsilnych paroksyzmach, ani rozplynać w codzienności ludzkiego życia.

Że prawdziwy pokój oprzeć się może jedynie na wielowarstwowej podstawie demokracji politycznej, demokracji społecznej i porządku międzynarodowego — o tym będzie można ludzi przekonać bez trudu. Jest zresztą rzeczą niemal pewną, że praca nad ogólną odbudową pójdzie niemal automatycznie w tym kierunku, zważywszy, że punktem wyjścia będzie zniszczenie autarchicznych dyktatur i że kierunek jej nadadzą dwie największe demokracje świata.

Przypuszczam też, że narody dość szybko zdadzą sobie z tego sprawę — tak dalece bije ona w oczy — iż historia oczyściła dla nich teren. Przeszkody materialne są podminowane — zwałą się za pierwszym uderzeniem. Władza polityczna burżuazji przestała istnieć, jej władza ekonomiczna runie tak samo pod najłżejszym naciskiem. We Francji i na całym kontynencie Europy armatura burżuazji jest rozbita — w wielkich anglosaskich państwach burżuazja daje już swą zgodę na odnowienie struktury, co równa się jej abdykacji. Prąd historii idzie w tym kierunku i wszędzie lud czuje swe wielkie przeznaczenie.

Ale oto trudność istotna: czy lud okaże się godny tego losu? Czy zrozumie, czy da się przekonać, że szczęśliwy, a nawet fatalny zbieg materialnych okoliczności nie wystarcza, aby wszczęła się, a tym bardziej utrwaliła, era jego przewodnictwa społecznego, że dla ujęcia w rękę steru społeczeństwa potrzebna jest bezsprzecznie siła, autorytet, jaki nadaje zbieżność z planem i dążnością ewolucji ekonomicznej, lecz nie mniej potrzebna jest godność, to jest powaga, jaką daje kompetencja i moralna wyższość. Aby przejście władzy nabrało trwałości historycznego faktu dokonanego, trzeba, aby zostało samorzutnie zatwierdzone przez sumienia, rozумы, serca. Trzeba, aby wywołało u każdego człowieka, miłującego prawdę, nie tylko okrzyk: „Tak się stać musiało”, lecz: „Jest rzeczą piękną, sprawiedliwą i dobrą, że tak się stało”.

Lud francuski, jak wszystkie inne ludy, spełni swoją misję, zbuduje społeczeństwo na swoje podobieństwo, jedynie w miarę jak doprowadzi w sobie samym do rozkwitu cnót, które usprawiedliwiają wszelkie przewodnictwo: odwagę, szlachetność serca, niezłomność sumienia i rozumu, zaparcie się siebie dla dobra ogółu.

Oto temat nieodzownych perswazji. Oto zadanie, które musi być natychmiast podjęte. Może tylko krótka chwila jest nam dana po to, aby tego dokonać. Kiedy sprawy ludzkie nie przybierają dosyć szybko i gruntownie nowego kierunku, zachodzi zawsze obawa, że jakaś automatyczna elastyczność nawróci je w dawne koleiny — nie ma zatem chwili do stracenia. Trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego że wysiłek pozostałby połowicznym i bezskutecznym, gdyby się ograniczył do sumy prób indywidualnego umoralniania.

Istnieje etyka zbiorowości politycznych, społecznych, narodowych, tak samo jak etyka jednostek. Praca nad uszlachetnianiem musi wtargnąć w sam miąższ tych tkanek zbiorowego życia. Jeśli na przykład zastanowimy się nad demokracją wewnętrzną kraju, czy nie jest rzeczą jasną, że gra sił, stawiających sobie czoło, sfałszowałaby samą jej istotę, gdyby te siły nie podporządkowały się raz na zawsze regułom uczciwości, prawości, honoru?

Założeniem każdej demokracji jest wolność działania, istnieje zatem zawsze ewentualność walki — nieprawdą jest jednak, że wszystko jest dozwolone w walce społecznej — nieprawdą jest, niezależnie od tego, czy chodzi o partię, grupy społeczne, prasę, czy jednostki, że wszystkie środki są dobre, bo usprawiedliwia je cel; żadna korzyść, żadna nawet potrzeba nie usprawiedliwia kłamstwa, oszusterstwa, niewypełniania zobowiązań, niedotrzymania obietnic, nieuczciwego manewru.

W większej jeszcze mierze odnosi się to do porządku międzynarodowego. Jest jasne, że nie może on oprzeć się na podwalinach innych, jak prawomocność i świętość umów. Gdy mu tej podstawy zabraknie, zawodzi na całej linii i musi się rozpaść. Oczywiście, że naruszenie trakta-

tów pozostanie zawsze możliwością w życiu międzynarodowym, jak możliwą jest zbrodnia w społeczeństwie. Trzeba jednak, aby naród poszkodowany mógł przynajmniej być pewny pomocy wszystkich innych narodów — to znaczy, by moralność miała siłę prawa.

Z drugiej strony, na wszystkich szczeblach tego życia zbiorowego podporządkowanie interesów jednostek i grup mniejszych dobru ogółu musi być zasadą uznaną i wprowadzoną w życie, jako bezwzględne zobowiązanie. Życie społeczne stałoby się niemożliwe, gdyby chwilowa i przemijająca korzyść jednostki nie ustępowała ogólnej i stałej korzyści grupy społecznej. Trudniejszym jednak do rozwiązania będzie problem uzyskania ze strony każdej grupy politycznej i społecznej tego, czego wymaga się od jednostki: aby dobrowolnie podporządkowały się interesom narodu i gospodarki i — i osiągnięcie od każdego narodu tego, czego wymaga się od grupy: dobrowolnego podporządkowania się trwałemu i powszechnemu dobru ludzkości. Zacierzwienie stronnictwa, ciasnota korporacyjna, szowinizm są w istocie swojej tym samym, co osobisty egoizm. Wyrzeczenie się współzawodnictwa, zaniechanie pretensji, opartych na rozbieżności bezpośrednich interesów, spontaniczne podporządkowanie ich woli wyższej, świadomość stosunku stałej zależności od powszechniejszego porządku rzeczy, który stopień po stopniu wznosi się coraz wyżej aż do idei obejmującej całość — stanowią to, co Sokrates i Platon nazywają mądrością, a chrześcijański filozof Pascal — pokorą. Pokora ta jednak powinna być siłą, którą sobie człowiek z dumą uświadamia. Pokora pobudzała wieki ubiegłe do wiary i uległości — nam musi być podniecią do wiary i czynu.



Socjalista przemawiający w ten sposób...? Tak, i to po-
chlebiając sobie, że pozostaje całkowicie konsekwentny wo-
bec siebie samego. Celem socjalizmu jest ustanowienie spo-
łeczeństwa, obejmującego całą ludzkość, opartego na jednej
sprawiedliwości w łonie narodów, na jednym pokoju inieędzy
narodami. Wiele środków będzie musiało się złożyć na
osiągnięcie tego celu, lecz nikt, zasługujący na chlubny
tytuł socjalisty, nie przypuszczał nigdy, aby osiągnięcie go
było możliwe bez ciągłego rozkrzewiania i rozpowszechnia-
nia ducha poświęcenia i karności.

Socjalizm nie przeczył nigdy wartościom „moralnym” i
„duchowym” — nigdy odrzucał idei cnoty i poczucia ho-
noru. Dał im tylko nowe znaczenie, jak poprzednio uczy-
nił chrystjanizm. Zarzucano mu często, że przyciąga ku
sobie tłum nieszczęśliwych, mając ich jedynie obietnicą
„zadowolenia ich pragnień czysto materialnych,” — jak to
określił Renan w wieku ubiegłym — lub „zwiększeniem
ich możliwości użycia” — jak się to mówi dzisiaj.

Zniesienie nędzy, usunięcie klęsk takich, jak zimno,
głód, choroba to nie są „dążenia czysto materialne”. Czemu
dążenie do sprawiedliwości społecznej miałoby być uczuciem
bardziej materialistycznym, niż miłosierdzie? Kiedy robot-
nik żąda lepszej płacy, nie myśli tylko o zastawieniu stołu
większą ilością strawy, myśli o mieszkaniu zdrowszym i
przestronniejszym, o dzieciach lepiej kształconych i ubra-
nych. Życie, rodzina i dom, zdrowy rozwój dzieci, zabez-
pieczenie starości — nie są „materialistycznymi sprawa-
mi”.

Gdyby jednak socjalizm ograniczył się w swych żąda-
niach do tego rodzaju żądań egoistycznych, choć szlachet-
nych, nie skupiłby wkoło siebie rzesz ludzkich. Uczy on

jednak jednostkę, że jej egoistyczne potrzeby, jej prawa i wolność są nierozdzielnie związane z potrzebami, prawami i wolnością wszystkich innych ludzi; że tylko wszyscy równocześnie mogą dojść do zadowolenia swych potrzeb, wspólnym wysiłkiem tworząc instytucję wspólną tak wielką, spójną i harmonijną, jak wszechświat fizyczny.

Doktryna socjalizmu obejmuje zatem najrozleglejsze ludzkie ideały powszechnego ładu i braterstwa. W koncepcji Jaurésa na przykład, ideał ludzkości staje się podstawą postępu dla cywilizacji — może położyć nowy fundament pod zasady moralne prawie niezmiennie, pod zwyczaje i prawa, zmieniające się z dnia na dzień, może stać się nowym pokarmem dla sztuki i myśli badawczej, może przesiąknąć wszelkie formy osobistego życia i zbiorowego istnienia tak, jak je przeniknęła w średniowieczu idea Boga.

„Socjalizm integralny” nie jest bynajmniej religią, gdyż nie ma dogmatów, rytuału, kapłanów — ale budzi i może zaspokoić uczucia religijne, ponieważ kształci w mądrości i cnocie, zaostrza wrażliwość sumienia, uczy znajdować w ideale szczytniejszym niż jednostka pobudkę i nagrodę osobistych czynów, a przyswojenie go sobie skłania do poświęceń i jest podobne do wiary.

Skąd to nieporozumienie? Jak jest możliwym, że umysły uczciwe tak obniżają wartość doktryny, która milionom ludzi była najwyższym, niemal religijnym natchnieniem? Wykazałem w ciągu moich rozważań, w jakiej mierze my, socjaliści sami jesteśmy odpowiedzialni za mylny sąd, przynoszący nam szkodę. A oto zdaje mi się, najistotniejsza jego przyczyna. Pochód wielkich doktryn, a nawet religii ludzkości zależy nie mniej od oporu, na jaki natrafiają po drodze, jak i od pierwszego impulsu, który powołał je do życia. Socjalizm musiał przede wszystkim żyć, zakorzenić

się, znaleźć sobie miejsce; aby wykazać swoją rację bytu, musiał dokonać dzieła druzgocącej krytyki; by bronić własnych początków, własnego rozwoju, musiał podjąć walkę.

Społeczeństwo kapitalistyczne, zaślepione instynktem samozachowawczym, traktowało socjalizm jako drapieżnego wroga, z którym żadne porozumienie nie jest możliwe, którego trzeba odepchnąć, zmiażdżyć bez litości. Musiał więc bronić się, atakując. Walka wtargnęła na miejsce apostołstwa, a w walce z reguły biorą górę pierwotne instynkty człowieka: lęk wzajemny, zaborczość, nietolerancja.

Dziś jednak te powody walki należą do przeszłości, socjalizm z okresu boju przechodzi do okresu triumfu. Ustrój społeczny, z którym walczył, rozpada się w gruzy — gdzie nawet jeszcze materialnie istnieje, tam zatracił wiarę w siebie i popadł w sprzeczność z własnymi swoimi prawami. Pewniki i postulaty socjalizmu przywłaszczają dziś sobie ludzie i partie, które dawniej zwalczały najbezwzględniej organizację socjalistyczną. Grupy społeczne wszelkiego rodzaju próbują, świadomie czy nieświadomie, odnowić się na podstawach, wypracowanych przez socjalizm. Sam Kościół rzymski postawą, jaką od pięćdziesięciu lat przybierał wobec zagadnienia własności, wykazuje równoległość z socjalizmem, możliwość zbieżnych wysiłków, nie odwoławszy zresztą zasadniczego potępienia doktryny socjalistycznej.

Wobec takiego stanu rzeczy, spory stały się niemal zbędne, a walka przestała mieć rację bytu. Socjalizm musi skupić się w apostołstwie, w podboju duchowym, musi powrócić — jak to dawniej czynił Kościół w okresach kryzysów, kiedy troska o doczesne interesy zbyt niebezpiecznie zasła-

niała przedmiot jego misji — do czystości pierwotnych natchnień.

Czy to propaganda religijna? A gdy nawet i tak było? Spinoza pisał: „Każdą działalność, której sami jesteśmy przyczyną, jako posiadający ideę Boga, odnoszę do religii”. Co Spinoza nazywa ideą Boga, nazwać możemy ideą człowieczeństwa, ideą wszechświata i formuła jego zachowa swą wartość. Nie ulega wątpliwości, że odpowiada ona szczególnie charakterowi Francji, która przez cały przeciąg swych dziejów, od wojen krzyżowych aż po Rewolucję Francuską, wypracowuje z dążenia do wszechświatowej wspólnoty najwyższą formę patriotyzmu.

Ta doktryna, którą byłbym prawie skłonny nazwać religijną, uczyni jednostki i narody, z nich złożone, godnymi ich historycznej misji. Celem jest doskonalenie wzajemne człowieka przez społeczeństwo i społeczeństwa przez człowieka, pobudzanie i rozniesienie wszystkiego, co jest w człowieku najszlachetniejsze po to, aby jego wkład osobisty stał się składnikiem najdoskonalszych rozstrzygnięć.

Dla tych wielkich zadań nasuwa się korzystna okazja — teren jest użyźniony. Kryzysy polityczne, które wstrząsnęły Europą przed wojną, sama wojna, a przede wszystkim klęska, odgrały rolę w jego przygotowaniach. Zamknięci w kole trosk i ciężarów teraźniejszości, nie jesteśmy nigdy dość zdecydowanymi optymistami, bo każde optymistyczne spojrzenie na świat wymaga dostrzeżenia i odczucia trwałości.

Kto wie? Może za jeden, czy dwa wieki myśliciele, którzy spojrzeniem doskonale spokojnym obejmą naszą epokę, dojdą do przekonania, że nawet „narodowy socjalizm” i faszyzm odegrały swą rolę w opatrnościowym pochodzie postępu. Odczytywałem niedawno studium, wydane w kil-

ka zaledwie miesięcy przed wybuchem wojny 1870 roku, w którym Renan przewiduje i zdaje się przyzywać wtargnięcie tych barbarzyńskich sił, jakich utajony osad zawsze według niego fermentuje w ludzkości i stanowi rezerwę dynamicznej żywotności. Twierdził on, że rozprzestrzenienie się tych sił, rozlanie wśród narodów o wysokiej cywilizacji, chwilowo wyczerpanych, może podzielać na nie jako podnieta, odnowienie. Fala się cofa. Siły barbarzyńskie zostają zepchnięte do swego podziemnego piekła, nie mniej użyżenie, pobudzenie zostały osiągnięte i działają nadal.

Wymieniłem już powody, które mi nie pozwalają widzieć w totalistycznym barbarzyństwie użyżniającej podniety. Renan przypuszczał powrót ewentualności historycznych innego rzędu. Miał na myśli przypyły młodego, świeżego tworzywa, które istotnie od tysięcy lat co pewien czas pokrywa periodycznie mułem formy normalnych cywilizacji, jak na przykład ów namuł plemion germańskich w okresie imperium rzymskiego, jak wnikanie ludów słowiańskich — lub ogólniej — ras wschodnich w historię współczesną. Nie wyobrażał sobie jednak, nie mógłby sobie wyobrazić, że samo zniszczenie tych form zostanie postawione jako ideał, że cywilizowany odłam ludzkości wyznaczy sobie jako cel świadomie wybrany nawrót do pierwotnej dzikości. Tu nie ma mowy o użyżniającym namule, naniesionym przez rzekę, tu raczej wiatr pustynny rozprasza i wyjąławia warstwy czarnoziemu, nagromadzone przez wieki. Niektóre trucizny działają czasem leczniczo, lecz inne tylko trują.

Nie zgadzam się zatem na zastosowanie powiedzenia Renan'a do totalistycznych dyktatur. Żadną miarą nie mógłbym się pod tym podpisać. Przez chwilę jednak przypuśćmy wbrew rozumowi, że te barbarzyńskie nawozy pobudziły siły produktywne wyczerpanego gruntu, przypuść-

my, że drogi historii, zawsze niezbadane dla współczesnych, doprowadziły do splądrowania przez „narodowy socjalizm” i faszyzm ładu starej Europy po to, ażeby w końcu ludzkość socjalistyczna mogła na nim wyrosnąć i rozkwitnąć.

Gdyby tak było — co za zadośćuczynienie, jaka szczęśliwa zemsta! W harmonii powszechnej racją bytu dyktatur stałoby się wytryśnięcie z fracuskiej gleby demokracji socjalistycznej żywej części i twórczego elementu demokracji międzynarodowej. W studium, które omawiam, Renan po podkreśleniu „nadzwyczajnego”, „kapitalnego” znaczenia rewolucji francuskiej, — którą nazywa „chlubą Francji”, „epopeą doskonale francuską” — po stwierdzeniu, że przez wieki pozostanie ona tematem, dzielącym ludzkość, pretekstem do miłości i nienawiści — dodaje te słowa dziwnie prorocze: „Prawie zawsze narody, które w historii zaznaczyły się czynem wyjątkowym, przypłacają ten czyn wielkim cierpieniem, a często przekreśleniem ich istnienia, jako państwa. Tak było z Judeą, z Helladą, z Italią. Za stworzenie rzeczy, jedynych w swoim rodzaju, kraje te przeszły przez wieki upokorzeń i utraciły byt państwowy. Narody, które stworzyły religię, sztukę, naukę, cesarstwo, papieństwo, wszystkie wartości powszechne, ponadnarodowe — były więcej niż narodami, a tym samym mniej niż narodami, w tym znaczeniu, że padły ofiarą swych dzieł”.

Wyraz „pokuta” stał się u nas potocznym — przy każdej sposobności tłumaczą nam, że kraj nasz pokutuje za rewolucję 1789 roku i za długi szereg pomyłek, który wlecz się w ślad za nią od półtora wieku. Ale to tylko pospolita gra polemiki — Renan, który jest historykiem i filozofem, przypisuje idei pokuty znaczenie nieporównanie wyższe i zgodniejsze z prawdą.

Francja — według niego — nie pokutuje za czyn błęd.

ny czy zły, lecz za czyn zbyt piękny, zbyt wielki, a szczególnie o zbyt powszechnym znaczeniu, by siły jednego narodu mogły mu podołać. Naród, który pierwszy pojął i zastosował prawdy o powszechnym znaczeniu tym samym poświęcił się dla ludzkości. Renan przypuszczał jednak, że konsekwencje ofiary będą mniej długotrwałe dla Francji niż są nimi dla Judei, Grecji, Włoch — ponieważ dzieło rewolucji francuskiej było mniej wielkie, mniej „wszechświatowe”. Sądził, że „ekspiacja” rewolucji francuskiej wypełni wiek XIX, po czym Francja, odpokutowawszy swe szlachetne szaleństwo, podniesie się odmłodzona i umocniona, jak Niemcy podniosły się po poniżeniu politycznym, które było pokutą za reformację. Renan pomylił się w swym obliczeniu: pokuta Francji trwała o pół wieku dłużej, dziś Francja jest znowu razem z ludzkością, przychodzi na nią kolej, by otrzymała spóźnioną nagrodę za ofiarę, z której dobroczynnych skutków ludzkość już skorzystała.

Czy te wszystkie zbiegające się ze sobą myśli nie wzbudzają ufności, czy nie krzepią? Dzieło słuszne i potrzebne zostanie dokonane. Jeśli nędze i nikczemności chwili obecnej budzą niepokój w naszych sercach, skierujmy wzrok ponad chwilę teraźniejszą, w przeszłość i przyszłość — objąć nam trzeba spojrzeniem nie ciasną prowincję, lecz harmonijną całość wszechświata. Nie idzie o zapomnienie zadań natychmiastowych, by zająć się jałową rozrywką kontemplacji. Nie jesteśmy marzycielami — nie stać nas na marzenia.

Ale chwila obecna przeminie, obozy dyktatorów, które zawładnęły Europą, przeminą, nędza i nikczemności przeminą — istnieją przecież w wszechświecie idee wieczne, istnieje przeznaczenie ludzkości, związane z wiecznymi prawami, w które wpisać musimy nasze przeznaczenie jedno-

dniowe. Pracujmy w terażniejszości, nie dla terażniejszości. Jak często w ciągu zebrań ludowych powtarzałem i komentowałem słowa Nietsche'go: „Niech przyszłość i sprawy najodleglejsze kierują wszystkimi dniami terażniejszości — nie doradzam ci miłości bliźniego, lecz miłość rzeczy najdalszych”

Czemu rasa ludzka i naród francuski miałyby w przyszłości okazać się niegodne tego, co w przeszłości dokonały? Rasa ludzka stworzyła mądrość, naukę, sztukę; czemuż nie miałyby stworzyć sprawiedliwości, braterstwa i pokoju? Spłodziła Platona i Homera. Szekspira i Wiktora Hugo, Michała Anioła i Beethovena, Pascala i Newtona — tych wszystkich bohaterów, których geniusz polega jedynie na kontakcie z prawdami istotnymi, z jądrem rzeczywistości wszechświata. Czemu by ta sama rasa nie miała spłodzić przewodników, zdolnych poprowadzić ją ku formom życia zbiorowego, najbardziej zbliżonym do praw i harmonii wszechświata? System społeczny ma prawdopodobnie swoje prawa przyciągania i ciężenia tak, jak systemy ciał niebieskich.

Człowiek nie ma dwóch dusz odmiennych, jednej, by opiewać i badać, drugiej, by działać. Niezmierne nadzieje ogarniają, gdy sięga się wzrokiem w te perspektywy. Niech człowiek nie straci z oczu celu, niech ufa swemu przeznaczeniu i nie obawia się wszystkimi siłami iść naprzód. Kiedy człowieka ogarnia niepokój i zniechęcenie, niech myśli o Ludzkości.



Podstaw

22/h-58 (1)